Nr. 1 (1408) Warszawa, 4 Stycznia 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

***Adres:* Wspólna Nr. 17. Telefonu 7388.**

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Aleksandrowi Świętochowskiemu

w hołdzie czci i wdzięczności numer ten poświęcamy.

Od Redakcyi.

Rok ubiegły był czterdziestym rokiem pracy Aleksandra Świętochowskiego na polu publicznem. Z całej prasy postępowej jedynie „Prawda" nie zabrała dotychczas głosu w ogólnym hołdzie Jego duchowi. Czynimy to teraz, rozpoczynając rok nasz nowy Jego imieniem.

Nie możemy złożyć Mu publicznego wyrazu wdzięczności za czystą, bezinteresowną przyjaźń, jaką obdarza pismo nasze stale i niezmiennie,--bo On należy do tych wyjątkowych ludzi, których uraża wszelka manifestacya publiczna, ku nim skierowana, choćby ona była najbardziej bezpośrednim i szczerym wyrazem uczucia. Ale nie umiemy przemilczeć i stłumić w sobie naszej głębokiej, promiennej radości, że oto wśród nas, w gronie współpracowników i czytelników naszych, gości niezmiennie On, obcując z nami i łamiąc chleb swoich myśli, On, największy umysł, najpłomienniejsze serce, najczystszy i najsilniejszy duch z pomiędzy wszystkich, które walczą i cierpią dla narodu.

Praca społeczna.

> Gdyby mi ktoś kazał ludzi nosić, myć ich, ocierać im nosy, powiedziałbym, że nie chcę, nie zrobię tego; ale niech ci ludzie będą mojemi dziećmi, ja je poniosę, i umyję i nosy im otrę, bo je kocham, bo to moje. Oto dlaczego mogę być publicystą: kocham społeczeństwo me, ono jest mojem, więc je obsłużę jak niańka, i najdrobniejsza [illegible]

Z powodu czterdziestu lat pracy Aleksandra Świętochowskiego prawie wszystkie pisma nasze skreśliły obrazy tej lub innej strony ducha i działalności jubilata. Chcę dziś przedstawić garść faktów z dziedziny niemal zupełnie powinięte przez wszystkich piszących o Świętochowskim, a jednak bodaj czy nie najbardziej umiłowanej przez niego samego: z dziedziny spraw społecznych.

Najpobieżniejszy rzut oka na stosunek Aleksandra Świętochowskiego do własnego społeczeństwa, a zwłaszcza do biedy społecznej, daje wrażenie, które raz na zawsze zostaje już w umyśle widza: wrażenie nieustającej nigdy, gorącej troski serdecznej, która żywem źródłem bije z tej przedziwnie czujnej natury ludzkiej, przez jakieś zaiste tragiczne nieporozumienie—zawsze potwarczo oskarżanej o chłód serca, o życie nawskroś i jedynie mózgiem, intelektem, wyobraźnią, suchą i bezlitosną logiką czystego rozumu.

Łatwo by mi było jednym dowodem, jednym faktem z tego życia obalić wszystkie, po płytkich wodach naszej świadomości społecznej żeglujące, opinie w tym względzie. Ale musiałbym wedrzeć się myślą niedyskretną w najboleśniejsze tajniki tego serca, aby otworzyć je i dobyć na widok publiczny łzy wielkie i czyste, zastygłe już w ciężkie dyamenty wspomnienia. Uchylmy czoła przed świątynią cierpienia osobistego, zamkniętą dla drapieżnych oczu ludzkich. Nie zamącajmy ciszy serca, w którem tylko własnej jego pamięci wolno sprawować obrzędy świętej ofiary, wolno przeżywać to, co zeszło z ziemi, wolno doznawać czaru i męki obcowania pamiątek. Zostaje nam jeszcze niezmierne bogactwo czynów społecznych, zapomnianych albo nieznanych nigdy nikomu. Ci, którzy je pamiętają, niechybnie zostaną uderzeni niedokładnością mego przypomnienia, albowiem muszą oni wiedzieć o wiele więcej[1]). Ale Świętochowskiemu przez całe życie tak dalece obcą była wszelka chęć rozgłosu, że dziś trudno zdobyć najskromniejszą ilość faktów, choćby kilka cyfr, pamiątek, cieni wypadków i czynów, w swoim czasie tak żywych i pięknych...

Ci, którzy ich nie znali, zamyślą się może nad siłą tej jednej woli, płynącej z ser-

[1]) Materyały do pracy niniejszej zawdzięczam Panu Stefanowi Dembemu, który pierwszy przypomniał prasie czterdziestolecie Świętochowskiego.

ca, które zawsze wzrokiem pełnym troski wpatrzone było w przyszłość swego narodu.

*

Ludzie pokolenia Świętochowskiego pamiętają piorunowe echa głodu na Śląsku Górnym, które w roku 1879 nietylko przeleciały wszerz i wzdłuż naszego kraju, lecz obudziły w społeczeństwach obojętnych, nawet dla nas wrogich, odgłosy współczucia i usiłowania pomocy. O rozmiarach klęski dają pojęcie opisy współczesne, które znajdujemy nietylko w całej prasie polskiej, lecz i w wielu organach obcej. Czoło zachowawców niemieckich, *Germania*, wzywa Niemców do składek na ginącą ludność Śląska a rząd do udzielenia pomocy państwowej. Istotnie, w następstwie pod obrady parlamentu oddany został projekt kilkumilionowej zapomogi.

Świętochowski bierze się do roboty po swojemu. On pierwszy u nas zbiera ofiary osobiście i za pośrednictwem *Nowin*, których był wówczas redaktorem i współwydawcą. Z niepraktykowanym u nas zapałem w sprawach publicznych, z wytrwałością żelazną dociera wszędzie, a pod naciskiem tej niesłychanej woli, pod wpływem pełnego uroku oddziaływania osobistego źródła miłosierdzia tryskają nieraz z głazów. Świętochowski sam jest wszędzie, sam czyni zakupy żywności i uzyskuje znaczne ustępstwa, sam organizuje pomoc, która dosięga takich rozmiarów, że całe pociągi z żywnością dla głodnych wędrują do zarządu górno-śląskiego towarzystwa włościan, na którego czele stał ks. Miarka.

Na okładce „Klemensa Boruty" czytamy napis: na rzecz głodnych Ślązaków.

W *Zarnie* z 1880 roku, wydawnictwie zbiorowem, które z jego inicyatywy powstało i głównie jego staraniem doprowadzone było do skutku, znajduje się następująca odezwa Świętochowskiego:

„Najwymowniejsze usta są głodne. Dla tego przed ich skargą nie zamykamy nigdy uszu a zawsze otwieramy serce. Słysząc je, pragniemy mieć tyle pełnych rąk, ile jest próżnych ust. Szlachetne to pragnienie jest dziś jedynem rozwiązaniem wielkiej, jak życie ludzkie dawnej i jak ono zawiłej sprawy głodu. Bo walka o byt jest koniecznością świata, a podział środków istnienia, odpowiedni mierze wciągniętych w nią sił, nieuniknionem dotąd jej następstwem.

Cywilizacya wszakże nie zachowała się wobec tej walki obojętnie, lecz okrucieństwo praw natury złagodziła troskliwością miłosierdzia. Gdy jedno zwierzę zagryza drugie dla odebrania mu łupu, gdy dziki człowiek, zdeptawszy współzawodnika, z tryumfem pokazuje zdobycz mu wydartą; cywilizowany podnosi upadłego w życiowym boju i karmi go swym chlebem.

Nędza wysnuła z siebie osobną, przez wszystkich wyznawaną religię, w której każdy dobroczyńca jest kapłanem, jałmużna—wiatykiem. Śląsk dziś — śmiertelnem łożem, a to wydawnictwo — dzwonkiem, wzywającym do posługi „dla głodnych".

*

W *Prawdzie* z 1881 r. pierwszy Świętochowski rzuca myśl uczczenia zmarłego rektora Warszawskiej Szkoły Głównej Józefa Mianowskiego, pierwszy wytyka jego wychowańcom zapomnienie i obojętność dla jego pamięci. Na głos tej pobudki odezwali się zaraz i energicznie wzięli z inicyatorem do dzieła Kronenberg i Jakób Natanson; powstała Kasa imienia Mianowskiego. Do pierwszego jej zarządu weszli ci wszyscy, którzy około stworzenia jej najwięcej się krzątali i inni mniej zasłużeni, nie wszedł tylko Aleksander Świętochowski, który wówczas pod ciosem wielkiej boleści pasował się ze zranionem sercem swojem. I już w dalszym ciągu bywał tak, jak gdyby tradycyjnie przy wyborach pomijany. W Zarządzie Kasy zasiadali kolejno wszyscy wychowańcy Szkoły Głównej, a następnie w czasach nam bliższych inni, którzy je, nawet nie pamiętali, tylko jego nie spotkał nigdy ten zaszczyt. Czyżby w ciężkiem, kostniejącem od bezruchu ciele tej instytucyi lękano się obecności jego tryskającej życiem, ruchliwej myśli? Odebrano mu nawet zasługę pierwszej inicyatywy, przypisując ją wytrwale innym (Dziewulskiemu, Sulimierskiemu).

*

Rok jubileuszowy T. T. Jeża—1882—był zarazem rokiem biedy materyalnej jubilata — Świętochowski zajął się organizacyą wydawnictwa *Ognisko*, książki zbiorowej dla uczczenia 25 letniej pracy Jeża i przyniesienia mu pomocy materyalnej.

W Nr. 3 *Prawdy* z 1883 r. czytamy te słowa:

„Dziś *Ognisko* opuściło drukarnię. Redaktorzy wysłali je w świat z żalem i dumą: z żalem—bo książka nie jest taką, jaką być miała i mogła, z dumą — bo cały nakład został wyczerpany przed ukończeniem druku. Wypadek podkreślenia godny wobec warunków, w jakich wydawnictwo się zrodziło. Winniśmy przypomnieć czytelnikom, jak starannie przemilczano pobudkę *Prawdy* do uczczenia zasług Jeża, jak wrogo lub obojętnie przyjęto odezwę *Ogniska*. Znalazły się pisma, które nas brutalnie napadły, napadły za to... że nie skłoniwszy nikogo do wyrażenia hołdu czcigodnemu pisarzowi, dopełniliśmy obowiązku sami w gronie umysłów postępowych. I nagle owo *Ognisko*, którego nie chciano popierać, a nawet pośredniczyć w przyjmowaniu nań prenumeraty, które natomiast usiłowano całem czernidłem krzywdzących posądzeń, zostało rozkupione przed wyjściem i pozostawiło tyle jeszcze niezaspokojonych żądań, że mogłoby odważyć się na drugie wydanie. Zaiste rzecznicy „większości społeczeństwa", wszelacy dzierżawcy majoratów prawomyślności otrzymali wymowną wskazówkę, jaki nieraz odgłos znajdują przedsięwzięcia „garstki"—przez nich paraliżowane. To jest moralny rezultat książki jubileuszowej".

O fenomenalnym jak na nasze stosunki rezultacie materyalnym świadczy następujący rachunek: z prenumeraty i sprzedaży wpłynęło 8808 rubli, 140 złotych reń., 20 franków — koszta wydawnictwa z przesyłką wyniosły 1590 r. Dochód czysty, doręczony T. T. Jeżowi, stanowił 7218 rubli, 140 zł., 20 franków.

W Nr. 6 *Prawdy* znajdujemy list T. T. Jeża, z którego przytoczę wyjątki:

„Nie!—nie za mało to. Czuję się tak... wynagrodzony, jak bardziej chyba człowiek żądać nie może. W *Ognisku* zaświadczył się zaczyn pracy postępowej w społeczeństwie, dla którego miłość wyniosłem z pod strzechy rodzicielskiej... Postawcież się na miejscu mojem. Wyobraźcie sobie człowieka, co całą duszy potęgą przywiązał się do istoty pewnej — do matki, dajmy na to, do żony, do dziecka własnego — przywiązał się tak dalece, że za tę istotę, dla dobra jej, oddać gotów wszystko, życia nie wyłączając; że myślenie o niej stało się dla niego troską jedyną, wyłączną, przedmiotem głównym jego trudów i zabiegów, jego nadziei i obaw. Ludzie tacy zdarzają się na świecie; każdy zresztą człowiek do czegoś jest przywiązany, w czemś rozkochany: z natury to pochodzi. Wyobraźcież sobie dalej, że człowiek ów, lat późnych dożywszy, w pracy się sterał i celu trudów a zabiegów swoich, tyczących się ubezpieczenia bytu istoty ukochanej, nie osiągnął. Smutno mu bywać musi niekiedy. Aż oto, przychodzi doń jeden i powiada: „nie trap się; przedmiot ukochania twego ukochałem, myślę o nim, jak ty myślisz i będę dlań po twojemu pracował". Przychodzi i powiada toż samo drugi, trzeci, dziesiąty, setny, tysiączny, a każdy z nich młody jest, zdrów i silny. Cóż—czy sędziwy ów a znużony pracownik nie ma cieszyć się, radować, szczęśliwym się czuć?..."

*

Kiedy w kilka lat później Piotr Chmielowski ciężko zapadł na zdrowiu i znalazł się bez środków do życia, Świętochowski zorganizował w kole najbliższych znajomych forsowną sprzedaż jego dzieła „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego", które w znacznych zapasach leżało unieruchomione na składach księgarskich. Wycofawszy z tych więzień, rozdzielił egzemplarze jego między znajomych i drogą kolportażu, w ten sposób zorganizowanego, w bardzo krótkim czasie uzyskał i doręczył Chmielowskiemu około 5 tysięcy rubli, umożliwiając mu wyjazd zagranicę i kuracyę prawidłową.

*

Klęska powodzi w 1884 r. wyrywa mu przejmujący obrazek, umieszczony w zbiorowem wydawnictwie „*Na pomoc*":

Pożegnanie.

Bądź zdrów maleńki, nie płacz, nie patrz tak na mnie, bo się z tobą pod młyńskie koło rzucę! Ojciec umarł, nędza nie siostra, chleba nie da, a bogata pani dziecko urodziła i mnie na mamkę bierze. Ssij, kąsaj a ssij. Niedługo może tylko powietrze w twoje usteczka wpływać będzie. O bodajbyś do mnie przyrósł! Bądź zdrów aniołku, ucałuję ci tylko buzię, rączki, nóżki. Prosiłam, żeby mi pozwolili choć patrzeć na ciebie, choć jak szczenię pod łóżkiem trzymać i czasem pokarmić... Pani nie chce, mówi, że chłopskie dziecko takiego zbytku nie potrzebuje. Do piersi własnej matki nie masz prawa, bo ona nie ma pieniędzy. Suka szczęśliwsza ode mnie! Śmiejesz się? Krzycz aż do nieba!... Och, co się ze mną dzieje! Zabierzcie mi wszystkie wnętrzności, a wstawcie bodaj jedną pierś... Bądź zdrów, ty, żalu mój! Jak dziecko pańskie odkarmię, odbiorę cię i sprawię ładne sukienki. Niedługo, za rok.. Płaczesz—umrzesz? Będę wyła, jak wilczyca, biegała po lasach i polach! W szpitalu dadzą ci dużo mleka. Bądź zdrów... mój ukochany... jedyny. Dolo okrutna, przecie i ziemi wolno karmić swoje dzieci!..

. . . .

Głowę płaczącej matki ujął czule duch ziemi i rzekł smutny:

— I ja niezawsze karmię te dzieci, które urodziłem.

*

W tych czasach (dziewiąty dziesiątek przeszłego wieku) Świętochowski staje się bożyszczem młodzieży. Słyszałem opowiadania ówczesnych studentów, którym, nie znając ich osobiście, niósł pomoc w najrozmaitszych postaciach. Wynajdywał ich na poddaszach, przynosił słowo pokrzepie-

nia i porady, przyprowadzał lekarzy, zostawiał pieniądze.

Dla dopomożenia najbiedniejszym z nich założył drobną kasę, która w innem społeczeństwie mogłaby stać się zawiązkiem olbrzymiej instytucyi: do własnych 500 rubli, dodał drugie tyle, zdobytych w kole znajomych, i z utworzonego w ten sposób funduszu udzielał pożyczek do wysokości 20 rubli. Charakterystyczny jest los tej instytucyi: z *pożyczek* owych ani jeden grosz nie został zwrócony, i gdy włożone pieniądze zostały wyczerpane, pustą kasę trzeba było zamknąć.

...Mylę się, w jednym z wierzycieli obudziło się sumienie: po wielu latach zgłosił się do Świętochowskiego pewien lekarz, aby mu oddać dług drobny, wówczas zaciągnięty. Ten fakt podaje Świętochowski w *Prawdzie* do wiadomości publicznej; rzuca on tem jaskrawsze światło na całą sprawę, jako „dziwny" wyjątek...

Tak powstawały w tem „zimnem" sercu gorące pomysły, które niezwłocznie przekuwał na dźwięczny metal czynu. Przytem nikt nigdy nie pytał, skąd Świętochowski brał środki na ten ratunek, który niósł osobom pojedynczym lub sprawom publicznym. Ale gdy było trzeba, każdy wiedział, że nie odejdzie od niego z próżnemi rękami.

Popularnym był jednak — jeżeli może być mowa o popularności w życiu człowieka z naturą samotnika, który ludzi raczej unika, niż szuka—nie wskutek tej pracy opiekuńczej, której echa nie rozchodziły się daleko, tłumione starannie przez niego samego,—lecz przez potężny wpływ umysłowy, przez promienie myśli, które budziły szeroko entuzyastyczne odgłosy i kształciły całe pokolenia. I nietylko w kraju. *Prawda*, od chwili pojawienia się swego, była ogniskiem myśli postępowej dla całej młodzieży polskiej, rozsianej po kresach, w państwie rosyjskiem i daleko po za jego granicami. Wszyscy uczyliśmy się, wchłaniając z gorącą wiarą jego cudowne myśli z ognia i złota, płynące zawsze w drogocennej oprawie kryształowo przejrzystych kształtów o liniach przeczystych i jasnych, jak sama prostota. Artykuły Świętochowskiego zajmują zupełnie wyjątkowe stanowisko nietylko w naszej epoce, nietylko w naszej literaturze, lecz w literaturze całego świata, bo niema drugiego przykładu takiego, jak ich oddziaływanie na wszystkie dziedziny życia duchowego całych pokoleń. Tylko w narodzie pozbawionym elementarnych przejawów życia publicznego, niemającym katedr, ani trybun, taka forma mogła powstać tej siły życio- i myślodajnej, która przez długie lata karmiła młode pokolenia najszlachetniejszym pokarmem prawdy w kształtach piękna.

*

Wiedząc o biedzie wielu młodych, utalentowanych ludzi, a chcąc dopomódz im w sposób najbardziej ludzki, nieobrażający żadnej ze strun miłości własnej, Świętochowski często bardzo otwierał łamy *Prawdy* piórom, których ton i barwa różniły się znacznie od jego własnych zapatrywań. Są w szeregach tej młodzieży ówczesnej nazwiska, dziś szeroko znane. Ale — zdaje mi się — niema ani jednego, któreby nie stanęło następnie w ostrej, brutalnej opozycyi względem niego. *Sic transit...* wdzięczność ludzka.

*

Drobnym przyczynkiem do tej charakterystyki serca jest wspomnienie o stosunku Świętochowskiego do ukochanego przez uczniów profesora gimnazyum lubelskiego, Pawła Dembowskiego. Słowo pisarza jest jego czynem w tym samym stopniu, co każdy inny — często jest bardziej czynem, niż inny, bo nie ginie po dokonaniu, nie milknie po przebrzmieniu, a gdy brzmi — rozchodzi się z wyżyny wielkiej i zatacza szerokie koła odgłosów, budzi dalekie echa myśli. Wspomniany tu czyn jest drobnym strumykiem, wypływającym jednakże z głębokiego źródła.

Po latach wielu, kiedy z inicyatywy Świętochowskiego garstka byłych uczniów zebrała się dla uczczenia Dembowskiego, Świętochowski tak do niego powiedział:

„Im dalej w życiu odsuwamy się od szkoły, tem w niej ty, czcigodny profesorze, przedstawiasz się nam większym. Szanowaliśmy cię i kochali, kiedyś nas uczył, jako dzieci, teraz, rozpatrując i oceniając z odległości lat wielu, szanujemy cię i kochamy jeszcze bardziej, jako ludzie dojrzali. Widzimy w tobie bowiem nietylko zacnego przewodnika naszej młodości, ale godnego wyobraziciela tej lepszej doli narodu, na którą dziś coraz gęstsze padają mroki, a w której pod dobroczynną opieką mistrzów rozwijały się i kwitły umysły młodociane. Coraz mniej takich, jak ty, miłowanych nauczycieli, coraz też mniej będzie takich, jak my, wdzięcznych uczniów. Szkołę rozwiedziono z tymi, którzy jej ślubowali dozgonne przywiązanie, jej dzieci odjęto ojcom i powierzono ojczymom. Pod tą czarną chmurą publicznego nieszczęścia nabrały mocniejszego blasku wspomnienia jaśniejszej doby, a z głów ją zdobiących trysnęły lśniące promienie. Często zwracamy myśl do tego uroczego i szybko w przeszłość uciekającego widoku, zawsze widząc w nim Ciebie. Za światło, które nam w umysłach zapalałeś, za uczucia, które w sercach szczepiłeś, za pracę wytrwałą i mozolną, za wolę uczciwą, za wszystko wreszcie, co dotąd w duszach naszych z twojego siewu na pożytek krajowi rośnie, racz przyjąć tę skromną pamiątkę"...

W „Liberum veto" w Nr. 46 *Prawdy* z r. 1889 czytamy o zgasłym wówczas Pawle Dembowskim:

„Ach nie myślcie, żeby to był jakiś żal prywatny, który mógłby pozostać w kole uczniów nieboszczyka. Zwłaszcza dziś ludziom jego wartości i jego zasług powinniśmy składać hołdy publiczne. Nie zszedł bowiem ze świata zwykły bakałarz, który uczył gramatyki i stawiał stopnie, lecz prawdziwy mistrz młodzieży szkolnej, jej ojciec duchowy i najzacniejszy przewodnik. Jeżeli napisanie kilkudziesięciu pospolitych artykułów lub kilku książeczek, jeżeli występy na scenie lub szczęśliwe operacye finansowe dają dostateczne prawo do upominania się o uwagę ogółu, to czyż nie lepszy wobec niej tytuł ma wieloletnia, umiejętna i uczciwa praca nad wychowywaniem i kształceniem dojrzewających ludzi? Czyż my jeszcze nie rozumiemy wielkiego znaczenia i wpływu takiej pracy?...

Dziwny to był człowiek! Nigdy nie uśmiechnął się w szkole — a był przez uczniów kochany; nigdy nie krzyczał i nie karał, a był bardziej słuchany, niż najsurowszy pogromca. Chociaż stał ciągle blizko nich — oni widzieli go gdzieś daleko i wysoko...

Nabytki wiedzy gimnazyalnej tak się zmieszały z późniejszymi, że żaden z uczniów Dembowskiego nie umiałby ściśle oznaczyć, co mu winien. Ale każdy czuł, że mu winien bardzo wiele, każdy nosił w swem sercu niegasnącą dla niego wdzięczność i głęboki szacunek. Niektórzy z jego uczniów zajęli w społeczeństwie bardzo wydatne stanowiska, ale nawet ze swych wyżyn widzieli i czcili go szczerze. Gdy umarł, poszli za jego trumną jak rodzina, złożyli go do grobu jak najbliżsi krewni. Nie był ojcem, a jednak w uczniach swych miał dzieci, które go kochały i które może są najzaszczytniejszem rodzeństwem dla nauczyciela.

Kuryer Warszawski umieszcza taką notatkę (15/IX 1896):

„Poświęcenie pomnika. D. 28 b. m. na cmentarzu powązkowskim odbędzie się poświęcenie pomnika na grobie zasłużonego pedagoga P. Dembowskiego. Sprawą postawienia pomnika zajmowali się pp.: Aleksander Świętochowski Władysław Gosiewski, Ignacy Królikowski i Stanisław Skrobański".

* *

Wrażliwość niezwykła i wdzięczność o wielkiej skali uderzają z drobnych wspomnień, w których, jak w kroplach wody, odbija się całe ogromne słońce jego serca.

Po stracie przyjaciela w r. 1884 Świętochowski pisze:

„Tylko wielkich ludzi świat z osobna liczy, innych gromadą waży. Ale on często nie wie, ile w tej ważonej przeznie go masie znajduje się jednostek szlachetnych i rozumnych, które jaśnieją niewidzialnie na nizinach życia, chociażby świecić mogły i na jego wierzchach. Taką wartościową jednostką, takim silnym umysłem, takim przejrzystym charakterem był zmarły Wojciech Białosuknia. Studya w uniwersytetach zagranicznych opatrzyły go dużym zasobem naukowym, życiowe zaś doświadczenia odlały mu serce z tak czystych uczuć, że ono we wszystkich swych uderzeniach wydawało szlachetne dźwięki. Zaledwie osiedlił się w nowej siedzibie, wyborem obywateli i włościan młody przybysz powołany został na urząd sędziego gminnego, na którym okazał swój rozum a nadewszystko niepokalany charakter. Jeżeli bogini sprawiedliwości rodzi dzieci, to tylko takich synów, a jeżeli społeczeństwo czuje w podstawach swych siłę, to tylko oparte na takich ludziach. Śmierć nieraz postępuje jak rabuś, który kradnie klejnoty a zostawia rupiecie. Dopiero, gdy burza drzewo z ziemi wydrze, widzimy, jaki ono obszar zajęło swymi korzeniami; dopiero gdy śmierć człowieka powali, pozostałą po nim próżnią mierzymy jego wartość. Na grobie Białosukni szczery smutek wypłakał łez wiele. Spłynęły tam i moje, bo znowu w życiu zgasł mi jeden promień".

*

Świętochowski w tych czasach przebywał przeważnie w wielkiem odosobnieniu, unikając banalnych stosunków tak zwanych towarzyskich. Alfred Nossig, który się z nim spotkał w roku 1889 w Wiedniu, zanotował niektóre szczegóły z rozmów w tym czasie prowadzonych:

„Żyję samotny, nie naginam się do wymagań towarzyskich, bo jestem w sobie samodzierżcą, autokratą absolutnym. Urządzam sobie życie, jak mi się podoba; a jeżeli to się innym takim mocarstwom dwunożnym nie podoba, to mi to obojętne... Odcinam się od świata, bo nie chcę, by mnie rozkradali. Jeśli ktoś nie jest nędzarzem umysłowym, jeśli przedstawia wartość jakąkolwiek, ludzie nań się rzucają i rozchwytują go po kawałku. Niechaj dobry matematyk zjawi się w towarzystwie, w tej chwili dziesięciu z obecnych zacznie go rozkradać. Niech wejdzie kobieta piękna, dwudziestu ją rozkradnie. Kto du-

żo obcuje, z konieczności w końcu staje się podobnym do szarego ogółu. Czy widzisz pan ten kamień spławiony, okrągły, służący za przycisk? To symbol: kiedyś i on miał postać odrębną, indywidualną; ale woda, która go spławiła gdzieś z północy aż tu, zabiła tę odrębność— otarła go aż do okrągłości. Nie chcę zdobić stołów ludzi, jako taki przycisk wypolerowany"... Zwiedzając muzea stolicy dalekiej, mówił: „dziś dopiero czuję się zupełnie sobą; jestem jak kozica górska, co ginie w dolinie i wspinać się musi na najwyższe szczyty. Oddalony od brudów życia realnego, w czystem powietrzu myśli mogę oddychać i czuję się swobodnym"...

A obok — taka refleksya:

„Gdyby mi ktoś kazał ludzi nosić, myć ich, ocierać im nosy, powiedziałbym, że nie chcę, nie zrobię tego; ale niech ci ludzie będą mojemi dziećmi: ja je poniosę i umyję, i nosy im otrę, bo je kocham, bo to moje. Oto dlaczego mogę być publicystą: kocham me społeczeństwo ono jest mojem, więc je obsłużę jak niańka, i najdrobniejsza rzecz w niem mnie obchodzi".

Tak odpowiedział na wyrazone przez Nossiga zdumienie, że z wysokim polotem swym, ze wstrętem do świata i życia codziennego połączyć może działalność publicystyczną. Mógł to zrobić i musiał — on, który żył zawsze bardziej troską ogólną, niż radością osobistą... Począwszy od pierwszego Liberum veto o Sicinskim, przez cały ciąg nowych świetnych błyskawic syntezy w felietonach *Prawdy* Świętochowski boleje nad faktem, żeśmy „kupą piasku", który nie może się zlepić, zorganizować przy żadnej pracy... On ma w sobie tę wolę ogranizacyjną i umie w tym względzie cudów dokonywać.

Władze organizacyjne, właściwe jego duchowi, w każdej dziedzinie twórczemu i niestrudzonemu, spoczywają przedewszystkiem w sferze myśli, inicyatywy i teoryi czynu, ale teoryi, opracowywanej osobiście do najdalej idących rozgałęzień. Świętochowski przygotowuje każde zadanie społeczne, każde przedsięwzięcie—troskliwie, badawczo, twórczo, aż po ostatnie ogniwa planu, daje całkowity system, popycha ludzi do współpracownictwa, myśli za nich, ciska w ich bezwładność nieprzebrane impulsy woli własnej — i stwarza w ten sposób organizacye jednolite, przemyślane, konsekwentne. Często nazywają go dumnym, niedostępnym, ale ta duma i niedostępność są tylko pancerzem, którym natura wrażliwa, w sobie zamknięta, osłania się przed ciekawością natrętnych i niedelikatnych spojrzeń istot pospolitych i gruboskórnych; w obcowaniu z życzliwymi chłodna powłoka znika bez śladu, pełne prostoty i zniewalającego uroku obejście chwyta człowieka za serce.

* * *

Jakie echa budzą w tem sercu ciosy i klęski narodowe, jaka skala odgłosu i siła wybuchu jest w niem zawarta, świadczą przemówienia publiczne Świętochowskiego. Śmierć Kraszewskiego podnosi w nim taki hymn uniesienia:

Myśl przywdziewa żałobę i klęka przy tych zwłokach. Klęcząc, nie modli się, lecz płacze, bo nie grzechy zmarłego rozpamiętywa, ale cnoty i zasługi. W grób rzuca mu sławę i wdzięczność, odmawiając ten psalm pogrzebowy, którym czci tylko największych.

Z grobu wybłyska słup ognisty, który swe blaski rzuca w odległe wieki. Zniknąłeś jako ciało a stanąłeś w pamięci naszej, jako duch z koroną promienną, współczesnych i potomnych wysoko przerastający. Z duszy Twej wypłynęła szeroka rzeka natchnień, z której dotąd niezliczone rzesze odżywczy napój czerpią. Pióro Twoje było laską Mojżeszową, którą zdrój ze skał wydobywałeś. Byłeś dębem rozłożystym, który od spiekoty osłaniał rozległą niwę i na którego gałęziach ptactwo niezliczone gniazda sobie usłało. Byłeś niewyczerpaną kopalnią klejnotów drogich. Byłeś górą, winnym krzewem obrosłą. Gdy spojrzymy na pole literatury naszej, widzimy, jakie obszary Tyś sam uprawił, gdy otworzymy jej skarbnicę, zdumiewamy się, jak olbrzymią sumę Tyś mu ofiarował. Gdybyś zabrał z sobą do grobu wszystko, co Tobie winniśmy, zubożyłbyś nas. Przez Ciebie jesteśmy bogaci. Nikt nas obficiej nie obdarował.

Miłość dla społeczeństwa była namaszczeniem Twej duszy. Kochałeś jego szczęście rzeczywiste i wyśnione. W każde słowo pragnień wsączałeś kroplę tego uczucia. Gdyś nie dostrzegał, gdzie światło, toś je rozpalał; gdyś ujrzał lody, toś je roztapiał. Broniłeś naród od głodu, zmarznięcia i zarazy.

Chociaż stado drzemało, Tyś jak żóraw czuwał nad niem i przed niebezpieczeństwem ostrzegał.

Śmierć zdmuchnęła dogasający płomyk Twego życia doczesnego, ale zatoczyła nad głową Twego cienia świetlany krąg pozgonnej sławy.

Co dałeś społeczeństwu jako dobrą wolę, to wraca Ci ono jako głęboką wdzięczność. Jest to wdzięczność niezmierzona. Bo gdziekolwiek sięgnął Twój wpływ, zewsząd tryska dziś żal. A kto określić zdoła jego granice? Widzimy tylko, że każdy umysł rozwidniony okrywa się smutkiem. I ci, co należycie stratę oceniają i ci, co jej objąć nie mogą, czują wspólnie, że padłeś jako olbrzym, że ziemia upomniała się o swe prawa i skryła w swem łonie wielkiego człowieka, któremu liczbą dzieł i pracą nikt jeszcze nie dorównał. Bo jako pracownik niestrudzony, byłeś jedynym w rodzie ludzkim.

Bądź więc za to pochwalony.

* * *

Po sławnych rugach bismarkowskich, które dziesiątki tysięcy nędzy polskiej wyrzuciły za kordon pruski, Świętochowski zwraca do Matejki głos oburzenia i żalu i wzywa go do pomsty.

Mistrzu.

Okrucieństwem potworny, a bezkarnością prawom moralnym urągający gwałt, spełniony przez Prusy na kilkudziesięciu tysiącach niewinnych Polaków, niewątpliwie rozkrwawił i twoje serce. Bezsilni wobec tego pogromu, który w takim rozmiarze i z taką niesprawiedliwością nie splamił dotąd kart historyi, protestujemy przeciw niemu tylko bolejącem słowem i niesłuchanemi przez nikogo narzekaniami.

Głos wszakże tych skarg, chociaż w nim odzywa się głęboka, stłumiona rozpacz, nie sięgnie po za granice naszego życia i czasu, który go nam z piersi wydarł. Ale nad nizinami, po których brutalna przemoc rozpościera swe cienie, unosi się dziedzina, w której wszyscy smutni i szczęśliwi odnajdują swoje jasne gwiazdy, w której nad mocarzami niszczącej ręki panują mocarze twórczego ducha. Takim królującym w sztuce mocarzem Ty jesteś, Mistrzu. Do Ciebie więc zwracamy się z serdeczną prośbą, ażebyś zechciał w odpowiednim obrazie, przedstawiającym wygnanie rodaków naszych przez tępiciela narodowości polskiej, okazać współczesnym i potomnym całą grozę tej sromotnej pomsty i męczeńskiego cierpienia. Z nas wszystkich Ty jeden potęgą swego geniuszu możesz utrwalić pamięć nielitościwej zagłady. Ty jeden mocen jesteś trzymać przez wieki pod pręgierzem głównego jej sprawcę. Ty, nieśmiertelny, będziesz swym obrazem odczytywał pozew krzywdy naszej przed sądem przyszłości nawet wtedy, gdy wykrętne i kłamliwe świadectwa jej wyrok sfałszować zechcą.

Warszawa w lutym 1886 r.

Wezwanie to pozostało bez żadnej odpowiedzi ze strony Matejki.

* * *

Nieznanym prawie jest fakt, że wydawnictwo słownika polskiego w znacznym również stopniu a może nawet w najwyższym zawdzięcza swe powstanie Al. Świętochowskiemu. Brak jego dawał się wszystkim mocno we znaki, ale tylko ten jeden człowiek miał wówczas tę energię olbrzyma, który z piasku stal wykuć umie.

Pewnego wieczoru znalazł się Świętochowski w teatrze obok Karłowicza i z rozmowy z nim, z utyskiwań jego na brak środków wyniósł postanowienie czynu: na jego wezwanie w *Prawdzie* odpowiedziano natychmiast, pieniądze się znalazły i Słownik zaczął wychodzić.

* * *

Zarzucano Świętochowskiemu rozmiłowanie w samym sobie, zapatrzenie się w wielkość własną, pychę nieznającą zasług ludzi najbardziej godnych hołdu, jeśli należeli oni do odrębnych obozów przekonaniowych; przyjrzyjmy się więc, jak on postępował z przeciwnikami.

Znaną jest działalność literacka i społeczna Pługa, jego stanowisko ideowe. Świętochowski zwalczał je zawsze, napadał ostro i z całą bezwzględnością piętnował klerykalno-zachowawcze hasła umierającej przeszłości, którą Pług reprezentował. Lecz nastąpił obchód pięćdziesięciolecia pracy Pługa—i Świętochowski uchylił głowy przed prawem i czystem sercem jubilata.

Oto jego przemówienie na zebraniu, jeden z jego najcieplejszych, najbardziej sercem przenikniętych—*czynów*.

Przesunięto przed Tobą, zacny Panie, panoramę żywych obrazów Twego cnotliwego życia i zasłużonej pracy. Stwierdzono, iż byłeś pisarzem znakomitym i obywatelem kraju tak prawym, że każdej chwili mogłeś odbyć spowiedź publiczną, nie potrzebując ani rozgrzeszenia, ani pokuty.

W wyrazach tego hołdu nie widzę wcale przesady. Naród nasz jest bardzo podobny do ogrodu podczas srogiej zimy: czarne, obnażone, na pozór martwe gałęzie zdają się świadczyć o śmierci drzew i odbierać wszelką nadzieję, ażeby one kiedykolwiek ożyły. Rzeczywiście, niektóre z nich słabe, spróchniałe, delikatne, bez szczególnej osłony przemarzają do korzeni. Ale pozostają swojskie, prawowite dzieci naszej ziemi, którym wystarczy kilka cieplejszych dni wiosny, ażeby otworzyły pączki, rozwinęły liście i kwiaty, a chociażby lato było bardzo krótkiem i ciągle przesłaniało im słońce chmurami, one zdążą wydać dojrzałe owoce. Takiem polskiem, na najtęższe mrozy wytrzymałem i płodnem drzewem byłeś Ty, Panie. Zgromadzeni dziś pod twoją wspaniałą 50 letnią koroną, postawili jubileuszowy ołtarz z dziękczynnemi ofiarami. Pozwól mnie na tym ołtarzu złożyć moje skromne votum. Jakkolwiek serce Two-

je posiada cudowną własność przetwarzania osobistych przykrości na miłość bliźniego, może w niem dochowała się pamiątka, która Ci przypomina, że przed ćwierć wiekiem wszedłem na pole literatury w rzędzie Twoich przeciwników. Ty występowałeś wówczas, jak zawsze, pod znakiem Galilejczyka, my pod sztandarem Juljana poganina. Upojeni odurzającym nektarem nowych idei, nie ocenialiśmy należycie czystego zdroju Twoich uczuć i nie wierzyliśmy, ażeby on mógł być źródłem wielkiej siły. Dopiero kiedy musieliśmy przejść szeroką pustynię życia, pod żarem nielitościwego słońca, brodząc w rozpalonym piasku, wyczerpani długiem pragnieniem, zrozumieliśmy, czem jest w takiej wędrówce krynica oazy. Odtąd zaczęliśmy Cię miłować i to tem bardziej, im dłużej przekonywaliśmy się, że chociaż zły los tę Twoją krynicę usiłował zwęzić i zasklepić mułem, ona ciągle biła tętnem żywej wody. Ta nasza cześć dla Ciebie nie wymagała od nas żadnego ustępstwa z zasad. Bo ktokolwiek wyznaje rozum, rozszerzywszy zakres swej wiedzy i doświadczenia, przyznać musi, że głos czystego serca ludzkiego jest zawsze słusznym, ile razy jest szczerym. A takim był głos Twój, Panie. Dziś, gdy charaktery nasze zdradzają nieraz rdzą swoją, że nie są odlane ze szlachetnego kruszcu, serce Twoje może służyć za probierz do rozpoznawania ich wartości. Wobec nieustannych widoków zagłady lub moralnego pomoru, wielu z nas zapewne nawiedza straszny sen, a w nim zdaje nam się, że malejemy i zanikamy przed czasem, który nam powróci możność szczęśliwego życia. Wtedy pragniemy, ażeby na ów czas zachowało się dobre, polskie nasienie. Nie przeczę, że garść tego pożądanego i pewnego nasienia zebraliśmy między sobą, ale sądzę, że Ty w niem należałbyś do ziaren najszlachetniejszych. A gdyby w najgorszym rozwoju naszych przeznaczeń miał kiedyś pozostać tylko jeden duch polski dla odrodzenia z siebie w przyszłości całego narodu duchów polskich i gdybyś tym jedynym duchem był Ty, Panie, wierzyłbym, że naród nasz nie zginie. O tem jestem przekonany nietylko ja, ale wielu dawnych przeciwników Twoich, którzy w dniu Twego święta jubileuszowego wołają wraz ze mną do ciebie: „Dziś zwyciężyłeś Galilejczyku sercem".

Gdy następnie obchodzono 25-lecie pracy literackiej Al. Świętochowskiego, Pług, uwiadomiony o tem przez p. Stefana Dembego przybył i stanął na czele grupy literatów postępowych, ażeby zanieść mu wyrazy uznania; wówczas prasa zachowawcza nie szczędziła sędziwemu swemu współpracownikowi najostrzejszych wyrzutów.

* * *

Podczas obchodu jubileuszowego przed dwunastu laty płynęły z całego kraju i z dalekich stron naszego rozproszenia po świecie liczne dowody uznania i hołdu, które świadczą o tem, że postać duchowa Świętochowskiego wryła się głęboko w świadomość tych może nielicznych, ale wszędzie rozsianych jednostek myślących, które stanowią sól każdego narodu. W Warszawie grono ludzi (Antoni Gustaw Bem, Piotr Chmielowski, Stefan Demby, Jan Karłowicz, Stanisław Krzemiński, Ludwik Krzywicki, Leopold Méyet, Zenon Pietkiewicz i Zygmunt Wasilewski) złożyło jubilatowi wieniec i krótkie wyrażenie czci, opatrzone kilkotysiącznymi podpisami:

„W dniu srebrnych godów Twoich z literaturą ojczystą składamy Ci skromny wieniec wawrzynu. Rzucają nań blask dwie gwiazdy przewodnie dążeń Twoich, dwa najpiękniejsze i najdroższe godła szermierza: prawda i postęp. Jaśniały one na widnokręgu działalności Twojej zarówno w dniach pogodnych, jak chmurnych, oświecając pole walki uporczywej ze wszystkiem, co wrogie swobodnemu rozwojowi ducha i idei sprawiedliwości społecznej.

Siłą talentu i odwagą przekonań szerzyłeś prawdę, wdrażając ogół w tor myśli krytycznej; z męstwem nieustraszonem rwałeś narzucane rozumowi pęta fanatyzmu i ciemnoty; biegłeś w obronie pokrzywdzonych i uciśnionych; wzniecałeś żar i miłość dla wzniosłych ideałów naszych; darzyłeś nas skarbami natchnienia, poczętego z burz i uniesień płomiennej fantazyi; ze strun, jak stal silnych i dźwięcznych, wydobywałeś ożywcze tony drogiej nam mowy polskiej. Nagrodą, równą zasłudze Twojej, obdarzyć Ciebie nie możemy. Znajdź ją w przeświadczeniu o zwycięstwie prawd, przez Ciebie głoszonych, które weszły w krew i ciało postępowych warstw narodu.

W ich imieniu składamy Ci dzisiaj hołd wdzięczności i uznania".

Na licznych arkuszach z podpisami znajdujemy reprezentowane dalekie strony, odległe miasta polskie, w których przeważnie ucząca się młodzież skupia się przy drogiem nazwisku mistrza; całe prowincye nadesłały zbiorowe wyrazy hołdu. Z pomiędzy wielu wymieniam nazwiska niektórych: Eliza Orzeszkowa, Jenike, Br. Chlebowski, prof. Radliński, prof. Bujwid, prof. Kryński, Al. Kraushar, E. Lubowski, Józef Kenig, Al. Hirschberg, Wł. Gosiewski, Wł. Reymont, I. Matuszewski, jak również: Bol. Lutomski, Ludwik Włodek, Aleksander Jabłonowski, D-r Jakimiak, Konstanty Paprocki.

Studenci Uniwersytetu Warszawskiego zwrócili się do Świętochowskiego w tych słowach:

„W ciągu ćwierćwiekowej, a tak obfitej w owoce działalności Twojej na niwie literackiej, naukowej i publicystycznej, — w odmęcie walki z upiorami egoizmu, kastowości i wsteczniсtwa, niejeden cierń ostry spotkałeś na swej drodze, niejeden kamień usiłował w pierś Twoją ugodzić... Ale bogaty posiew Twojego umysłu i serca nie upadł na grunt kamienisty. Od pierwszej chwili podjętej przez Ciebie walki — w najmniej może zepsutej przez życie cząstce społeczeństwa naszego — w młodzieży uniwersyteckiej, — znalazłeś gorącego sprzymierzeńca. Byłeś dla niej zawsze i pozostałeś dotychczas kierownikiem i Mistrzem uwielbianym. Uczyłeś ją z pod warstwy naleciałości wiekowych wydobywać brylantowe ziarna prawdy, uczyłeś ją nienawidzieć pod każdą postacią fałszu i obłudy, a prawdę kochać nad wszystko, wskazywałeś ciernistą, ale jedyną ścieżkę, wiodącą ku nieśmiertelności prawdziwej...

Z łona tej młodzieży, złożonej z uczniów i wielbicieli Twoich, czcigodny Panie, wyszedł cały szereg dzisiejszych bojowników przyszłości, dzisiejszych szermierzy nieśmiertelnej idei postępu, której z takim zapałem, tak niezmordowanie i skutecznie drogę u nas torować zacząłeś.

To jedno, samo przez się, jest już zasługą niezmierną, — to jedno, wśród goryczy nieodłączonych od życia, jest już ukojeniem i radością.

Szczęśliwymi czujemy się dzisiaj, my, przedstawiciele najmłodszego pokolenia młodzieży polskiej, mogąc w tym dniu, uroczystym dla wszystkich serc polskich, zdolnych jeszcze do uczuć wznioślejszych, w imieniu naszem i towarzyszów naszych, rozproszonych po świecie szerokim, niniejszem hołd Ci wyrazić najgłębszy".

Chwila ta była może najbardziej uroczystą i wzruszającą. Świętochowski objął i ucałował studenta, wysłańca młodzieży, a odpowiadając krótkiemi słowy, załkał...

Kobiety polskie zwróciły się do Niego z taką przemową:

„Za to, żeś jest jednym z tych wybrańców, którym dano przodować prądom spółczesnym i nadawać im kierunek; za to, żeś odczuł i zrozumiał, że nadeszła chwila, kiedy uanielonym przez długie wieki niewolnicom zaczęły ciężyć gwałtem przypinane skrzydła, a ręce ich rwać się zaczęły do ludzkiej pracy i czynu; za to, żeś gorącem i potężnem słowem popierał dążności tych, które miały siły i odwagę sięgnąć po prawa człowiecze—przynosimy Ci my, ciche postępu pracownice, w dzień jubileuszu Twojego wiązankę z myśli Twych własnych w hołdzie uznania dla wpływu, jaki one wywarły na losy nasze i na kierunek przyszłych pokoleń".

Towarzystwo Młodzieży Polskiej w Paryżu, „Spójnia", pisało:

„Dwadzieścia pięć lat upływa od chwili, w której wystąpiłeś jako szermierz najdroższego dziedzictwa ludzkości—swobody myśli.

Odtąd—czyś zgłębiał ciemnie zagadek poznania, czyś w żmudnej pracy badał podstawy naszego bytu, czyś w nieskazitelne formy swej mowy oblekał odwieczny tragizm ludzkich starć o życie, czyś szukał wyjścia z pośród błędnych kół istnienia,—nie ustawałeś, Panie, w walce o Prawdę, która tylko na drogi mężnych i nieustannie ku niej dążących duchów zsyła swe promienie. Tych promieni zawsze byłeś nieustraszonym zwiastunem, wiernie pełniąc poselstwo Prawdy przed swą społecznością.

Niedawni jeszcze świadkowi Twej pracy, lecz z niej po części powstali w przededniu walk o własne ideały, łączymy się dziś bez różnicy przekonań i ślemy Ci wyraz hołdu za wielkie dzieło Twego życia, — a wierząc w nieustanną kolej walk tych o Prawdę—pragniemy zawsze przy jej sztandarach widzieć szermierzy Twojej potęgi".

T. T. Jeż na tępujące nadesłał słowa:

7/I — 96 Genewa.

„Gdybym przebywał w Warszawie, wprosiłbym się do tego grona, co Wam cześć złożyło; uścisnąłbym dłoń Waszą i powiedział: żyjcie — pracujcie! Zdała od Ojczyzny, nietylko dopełnić tego nie mogłem, alem się z przesłaniem listownie czci Wam należnej spóźnił. Wybaczcie mi to i wierzcie, że wcześniej, czy później jedno i to samo mam do Was i o Was do powiedzenia: oby Wam jaknajdłużej zdrowie służyło — oby nas jaknajdłużej owoce pracy Waszej posilały"!..

W Nr. 1 *Prawdy* z r. 1896 znajduje się krótkie podziękowanie Świętochowskiego:

„Nie mogąc odpowiedzieć osobno na wszystkie listy i telegramy, nadesłane mi z powodu 25-lecia mojej pracy pisarskiej, proszę tą drogą o przyjęcie najserdeczniejszych podziękowań. Zacnej zaś młodzieży, temu czułemu sercu społeczeństwa, która mnie tak rozrzewniająco pozdrowiła, ślę uścisk dawnego i wiernego jej przyjaciela".

* * *

W czasie uroczystości Mickiewicza w Warszawie Świętochowski temi słowami uczcił pamięć jego:

„Chyba nigdy śród zgromadzenia nie stanął duch szlachetniejszy od tego, który jest między nami. Doprawdy było to nietylko wielką naszą dumą i rozkoszą, że ten geniusz z nas wyszedł, ale też wielkiem szczęściem, że on objawił się w człowieku tak moralnie czystym, tak patryotycznie wzniosłym, tak ludzko dostojnym jak Mickiewicz. Bo wyobraźmy sobie, że tym najznakomitszym poetą polskim był obojętny dla swej ojczyzny minister Goethe, albo powaśniony z nią wichrowaty Byron, albo rozpłakany i rozpieszczony Musset, jakich doznawalibyśmy uczuć, wystawiwszy mu pomnik? Jeszcze raz uprzytomnilibyśmy sobie wszystkie piękności jego utworów, zatopilibyśmy się w rozważaniach estetycznych i dosyć. Tymczasem Mickiewicz staje przed nami nietylko jako twórca arcydzieł, lecz jako bohater i wzór narodowy. Prawda, byliśmy przed nim i byliśmy bez niego—ale jacy? Kto określić zdoła, ile z tej niewyczerpanej krynicy wpłynęło w nas, wpływu i jeszcze wpłynie? Geniusz, który dał nam tak wspaniałe pomniki literatury, serce, które tak nieustannie gorzało miłością dla swej ojczyzny, umysł, który z bólu nad jej nieszczęściem i swoją niemocą ratowania jej aż się obłąkał—nie mógł być światłem tylko swojej epoki. To też nie jest on jedynie czcigodną mumią, zachowaną w dziejach i niemającą żadnego związku z życiem obecnem, nie jest garścią szanownych prochów, spoczywających we wspaniałym sarkofagu ze zwiędłymi wieńcami na cmentarzu narodowym, ale jest zmartwychwstałym mistrzem, którego my ciągle rozumiemy i który nas rozumie nawet wtedy, kiedy milczący i smutni przechodziliśmy grobową processyą z odkrytemi głowami około jego pomnika.

„Ja przyszłości brudne obłoki
Rozcinam moją źrenicę, jak mieczem"

powiedział o sobie i miał do tego prawo. Przeszło pół wieku upłynęło od ostatnich jego rad, wskazań i proroctw, a był to okres głębokich przełomów i przekształceń. Po takim czasie najmędrsze słowa pokrywają się pleśnią, najprzenikliwsze jasnowidzenia stają się zasuszonymi kwiatami historyi. A myśli i uczucia Mickiewicza kwitną dotąd świeże i barwne, jak gdyby dopiero wczoraj się rozwinęły. Nawet te prądy, które za dni naszych szeroko się rozlały, jak gdyby przeszły przez jego duszę, chociaż on je dostrzegł zaledwie w pierwszych wytryskach, ale przewidział je i rzucił im błogosławieństwo w przyszłość. I dlatego patrzymy na zjawisko dziwne: przed tym wielkim cieniem klękają wszystkie stany, wszystkie żywioły społeczne, wszystkie, począwszy od tych, które według „Ody do młodości" chcą „bryłę świata nowymi pchnąć tory" aż do tych, które z bohaterem „Dziadów" szepczą:

„Puch czarny, puch miękki pod głowę podłóżmy;
Śpiewajmy, a cicho: nie trwóżmy, nie trwóżmy"...

Jak w widmie słonecznem, tak w tym wielkim duchu łączyły się i zlewały rozmaite barwy w jasne promienie słoneczne. Jest to szczególną właściwością i tajemnicą umysłów, tak wysoko wzniesionych nad światem, że dla nich nikną jego różnice i sprzeczności. Ale nie wszystkie dusze stapiają w sobie te barwy i nie wszystkie czasy uwydatniają je zarówno w swych tęczach. W tęczy naszego czasu najmocniej błyszczy ta, która odpowiada idei dobra pracującego ludu, a która w umyśle Mickiewicza wystąpiła najpóźniej. Kiedy on pisał „Pana Tadeusza", buchał jeszcze płomieniem wulkan szlachecki, który dziś tylko dymi się, bo ogień narodu roztopił inne pierwiastki, a ich lawa otworzyła sobie inny krater. Lawa ta jest dość jeszcze rozpaloną, ale gdy się rozleje szeroko i ostygnie, stworzy grunt urodzajny, na którym powstaną bujne i płodne winnice. Nasze zaś starania powinny zmierzać do tego, ażeby nowe gleby uprawić, ażeby ich jagody spożyły usta tych, których ręce koło nich pracowały.

Mickiewicz zamierającemi oczami widział zaledwie pierwsze łuny nowego krateru, ale gdyby dziś żył, zapaliłby u jego ognia pochodnię swego geniuszu".

* * *

Ogromną smugę jasnego światła stanowi w życiu Świętochowskiego stosunek do Tytusa Chałubińskiego. Zaczął się on w sposób niezwykły: znakomity lekarz przyszedł sam, niewzywany, do powalonego nieszczęściem pisarza, aby mu przynieść to, co człowiek człowiekowi dać może najdroższego: serce.

Odtąd ogromnej miary harmonia objęła te dwa wybrane charaktery i spoiła z sobą na zawsze. Gdy jeden zgasł, cień jego wielki stanął przy sercu drugiego i swemi skrzydłami owiał jego myśli.

„Tytus Chałubiński umarł. Umarł lekarz genialny, człowiek wielki, umysł potężny, charakter wspaniały, umarł ten który dawał zdrowie i wydzierał ofiary śmierci. Był między nami jako jeden z tych tatrzańskich olbrzymów, które ukochał i które dziś pochyliłyby przed nim swe żałobne czoła, gdyby je chyliły przed kimkolwiek. Z głową ku słońcu, a z sercem ku ziemi zwróconem, z tym boskim oddechem, który według mędrca starożytnego znamionuje ludzi prawdziwie wielkich, przeszedł swą kolej, nie rzucając za sobą cienia, lecz blask. Dusza jego zbierała w sobie tylko promienie życia, a życie widziane przez nią wydawało się promiennem. Należał on do tych, którzy bywają światłami swego czasu, zaszczytem społeczeństw, dobrem współczesnych, dumą natury, objawiającej w nich swoją siłę i uroki. Zostawił nam wiele zasług do rozpamiętywania, wiele zobowiązań do wdzięczności, ale tyle powodów do żalu, że w tej chwili możemy się oddać tylko smutkowi i z niemą boleścią wpatrywać się w tę odchodzącą od nas czcigodną postać i w ten grób, w który zamiast ziemi rzucamy serca".

Wspomnienie o Chałubińskim, skreślone wkrótce po jego zgonie (*Prawda* 1889 r.) zawiera skarby myśli i uczuć, skrystalizowanych w przedziwne aforyzmy.

„Wielcy ludzie są jak wielkie góry: kto do ich szczytów na orlich skrzydłach wznieść się nie może, widzi ich całkowicie tylko z oddali...

Niekażdy człowiek z równą słusznością może o sobie powiedzieć, że jest odrębnym światem, bo są głowy utoczone według wspólnego wzoru i mieszczące się mniejsze w większych, jak jajka chińskie, i są inne, mające krój swój własny. Taką odmienną posiadał Chałubiński. Nawet znających różnorodność sądów ludzkich i bieg jego myśli zadziwiał on co chwila jakąś swoistością duchową. Czyś go zapytał o istotę poezyi, czy o strawność białka, zawsze usłyszałeś odpowiedź niespodziewaną...

W jego sklepionem czole pracowała jakaś potężna siła oryginalności pojmowania i tłomaczenia wszystkiego, ku czemu ją kierował. Olśniewała zaś ona tembardziej, że nią ogarniał niemal cały obszar wiedzy.

..Zawsze, niezmiennie i bezgranicznie był dobrym. Podczas gdy inni ludzie podobni są do księżyców lub gwiazd, które obok rozlewanych przez siebie blasków widzą cienie i mroki nocy, on przypominał słońce, które swem światłem nadawało każdej rzeczy i istocie wartość lub urok i nie odmawiało promieni niczemu. W tych promieniach brzydota piękniała, szarość okrywała się barwami, małość rosła.

Nie mam zamiaru wieńczyć jego głowy moją jednostkową wdzięcznością, bo ją wawrzynami pokryła wdzięczność tysiąców; jeżeli więc wspominam, jakie miał serce dla mnie, to tylko z celem okazania, jakie miał dla wielu. Pewnego dnia w chwilach strasznej żałoby i boleści ujrzałem go przy sobie po raz pierwszy. Dowiedział się o nieszczęściu i chociaż nieznany, niewezwany, pospieszył na ratunek. Chciano mu płacić — nie przyjął.

— Ależ my nie będziemy śmieli pana prosić.

— Nie potrzeba — odrzekł — ja sam przyjdę.

I rzeczywiście przychodził: przez lat kilka wskrzeszał w moim domu umierających, przywracał zdrowie nieuleczalnym, był zbawicielem, najczulszym ojcem, opiekunem, dobroczyńcą, przyjacielem, którego dowodów życzliwości niepodobna było niczem zrównoważyć. Ktoby uwierzył, że on, pożądany, upragniony, rozrywany, umiał przyjechać raniutko i zapytać u drzwi służącej, czy wszyscy w domu są zdrowi. Gdy go wreszcie niemoc owładnęła, na chwiejących się nogach, z zawrotami głowy, podtrzymywany przez lokaja, ledwie mogąc wejść na schody, jeszcze nas odwiedzał, zawsze troskliwy, zawsze do pomocy chętny i zawsze swoje dolegliwości serdecznym uśmiechem pokrywający. Jak daleko posuwał swą dobroć, dość powiedzieć, że złamany chorobą, niezdolny utrzymać pióra w ręce, na posłane mu do Zakopanego pozdrowienie odpowiedział osobnym listem mojej —ośmioletniej córeczce. Z jego wielkiem sercem mógł się mierzyć tylko jego wielki umysł. Żadna z marnych żądz, które pełzają po padole świata, nie miała przystępu do jego duszy. W każdej drobinie, w każdym ruchu był naturą dostojną..

...I tego człowieka musieliśmy oddać ziemi! Z jaką boleścią — świadczy ten wielki jęk żalu i wdzięczności, który się publicznie z wielu piersi wydarł. W chórze żałobnym, opiewającym zasługi lekarza, nie wzięli udziału sami lekarze. Jak o wszystkich wielkich obywatelach, tak o Chałubińskim każdy czuł się upoważnionym mówić, każdy przyznał sobie prawo do słów, bo miał je do łez.

I ja je sobie przyznałem. Więcej mi w sercu pozostało niedopowiedzianego smutku, niż go w wyrazy przelać mogłem. Ten przepiękny, świetlny, dobry duch stoi przed myślą moją w całej swej wspaniałości, mierzę jego ogrom, widzę jego blaski, pamiętam jego chwałę, ale gdy spojrzę na przedzielający go odemnie grób, umiem to tylko, co umieją wszyscy, którzy nad grobami kochanych cierpią.

A jakże ja go kochałem!"

* * *

Podczas bytności Paderewskiego w Warszawie w r. 1899 Świętochowski pisze:

„Chociażbym miał przez to wywoływać ironiczne uśmiechy, nie przestanę przywiązywać społecznej wagi do wartości charakterów bez względu na to, z jakimi zawodami i umysłami są one złączone. Stanowią bowiem wielką siłę wszystkich społeczeństw. Z najwyższą tedy rozkoszą widzę, że Paderewski jest ciągle duszą dobrą. Zdobywszy znaczny majątek, użytkuje z niego nietylko rozumem, ale i sercem. Wtajemniczeni w jego zacną wolę opowiadają, że zakrytą ręką pomaga hojnie rozmaitej niedoli. Gdy po kilkunastu latach odwiedził Warszawę, co jej przywiózł? Wielbicielom sztuki — dowody swego wspaniałego talentu, a biednym — dochód z trzech koncertów. Od niego lub przez niego otrzymały 12 tysięcy rb. zakłady dobroczynne, młodzież kształcąca się, wydawnictwa ludowe. W tej ofierze poznaję tego samego Paderewskiego, który utkwił mi w pamięci jednem wspomnieniem. Kiedy Chałubiński, który z moich znajomych sam jeden przepowiedział mu wielką przyszłość, dogasał w Zakopanem, pojechałem do niego, ażeby po raz ostatni pożegnać się z tym czcigodnym i drogim mi człowiekiem W rozmowie wspomniał o Paderewskim.

— Jak mnie to cieszy — rzekł — że nasz pan Ignacy wysoko się wzbija. Zobaczysz pan, że jego sława rozpostrze się szeroko. Ale ja tego nie doczekam i — dodał z westchnieniem — nigdy go już nie usłyszę.

W kilka dni potem spotkałem w Wiedniu Paderewskiego, któremu opowiedziałem o tej wróżbie i żalu. Nazajutrz dowiedziałem się, że nagle wyjechał do Zakopanego, gdzie przez trzy dni grał Chałubińskiemu, który też wkrótce umarł.

Ile razy później usłyszałem o Paderewskim, zawsze przypomniał mi się ten piękny rys jego szlachetnego serca. I widzę, że on to serce zachował, że ono mu w życiu nie stwardniało".

* * *

W tych wybuchach hołdu, w tych hymnach czci i miłości mamy przed sobą najbogatsze potoki jego własnych uczuć, możemy się wsłuchać i wpatrzeć w nie głęboko, jakgdybyśmy—niewidzialni—obecni byli przy cudownych narodzinach tajemnicy ducha ludzkiego...

Jak w galeryi obrazów genialnego malarza, poznajemy szereg portretów, które są głęboko ujętymi obrazami ducha ludzkiego w jego różnych przejawach: portretów, zdjętych z żywej rzeczywistości — a jednak zarazem i przedewszystkiem arcydzieł twórczości osobistej mistrza, które są miarą jedyną i najprawdziwszą jego własnego ducha; tak w tych cudnych obrazach, dających nam świetne sylwetki ludzi, których duch w większym lub mniejszym stopniu zahaczył o jego własny, skojarzył się i zrósł z jego istotą — widzimy przedewszystkiem głębie jego własnej umysłowości i uczucia.

* * *

Oskarżają go o brak uczucia, a jednak w jego oczach najpiękniejszą cnotą, najwyższą wartością ludzką jest dobroć; dla tej wartości, wyrastającej wszystkimi korzeniami z serca, gotów on przebaczyć wszelkie słabości i grzechy ludzkie... Dla niego największym geniuszem świata jest Chrystus...

„Patrząc w najdalszą przyszłość, nie możemy wyobrazić sobie takiego stanu ludzkości, w którymby Chrystus nie budził głębokiej czci, a tradycya jego męki—wstrząsającego współczucia. Bo trudno pomyśleć, ażeby ta ludzkość zobojętniała kiedykolwiek na promienie nauki Jezusa i na okropność śmierci, którą za nią poniósł. Tylko bardzo płytkie umysły sądzić mogą, że wspaniała gwiazda, która przed 19 wiekami zabłysła w Judei, jedynie przypadkowi zawdzięcza, iż tak szeroko rozpostarła swą jasność, dotąd nie zgasła, a może wieczn e przyświecać będzie człowieczeństwu w jego wędrówce po krętych i ciemnych drogach. Chrystus nie założył sekty religijnej, to znaczy, nie splótł w system wierzeń, przesądów, interesów i pragnień pewnego miejsca i czasu, lecz stał się głosem uczuć powszechnych i wiekuistych. On nie otworzył własnego jedynie serca, ani serca swego narodu, lecz wyjął serce z piersi rodu ludzkiego, położył je na przeczystej dłoni, pokazał jego rany, ucałował je i dotknięciem kochających ust zabliźnił. Umiłowanie wszystkich i przebaczenie wszystkim, związanie całej rodziny człowieczej węzłami braterstwa, zupełne zrównanie jej członków wobec prawa i obowiązku, wygnanie z życia obłudy, nienawiści i okrucieństwa, przeniesienie jego celów ze świata niskich żądz w świat najwyższych ideałów, otoczenie anielskiemi skrzydłami ubóstwa i wszelakiej małuczkości—to są idee, które nietylko przed 2000 lat, nietylko dziś, ale zawsze będą drogowskazami najmniejszego i największego człowieka. Nigdy przedtem ani potem nie zjawiła się na ziemi istota tak dobra, tak czuła, tak wolna od pobudek samolubnych, tak roztapiająca swe myśli i uczucia w szczęściu bliźnich. Za jedno z dwu najwyższych przykazań uznał Chrystus: miłuj bliźniego twego, jak siebie samego. Większego przykazania—dodaje—nad to niemasz. Nikt też nie zdobył równie słusznego prawa nazywania się „Synem bożym". Ewangieliści opowiadają, że gdy razu pewnego matka i bracia stanęli przed domem, gdzie Jezus nauczał, zawiadomiony o tem „wyciągnął rękę swoją na uczniе swoje i rzekł: Oto matka moja i bracia moi. Albowiem ktobykolwiek czynił wolę ojca mojego, który jest w niebiesiech, ten jest bratem moim, i siostrą, i matką".

Jeżeli miłość bliźniego ma być najświętszą formą i najważniejszą regułą życia, to któż powinien być głównym jej przedmiotem? Naturalnie nieszczęśliwi, biedni, wydziedziczeni, skruszeni grzesznicy, wszyscy, którzy posiadają najmniej a cierpią najwięcej. I rzeczywiście ku nim zwróciło się przedewszystkiem serce Chrystusa, uderzające wobec każdej niedoli tonem dziwnej szlachetności. A ponieważ ta niedola stanowiła zawsze w świecie bezmierny ocean, z którego wynurzały się tylko małe wysepki szczęścia, więc też nauka Jezusa, niewyczerpane źródło powszechnej miłości, musiała rozlać się szeroko, jest dotąd i będzie zawsze czystą krynicą najpodnioślejszych zasad i natchnień. Bunty, opory, protesty, które wybuchały przeciwko niej w dziejach, nie powstawały przeciwko niej prawdziwej, ale przeciwko sfałszowanej. Zarówno pobożny chrześcianin, jak rozumny innowierca, wyznawca Mojżesza lub Mahometa, zarówno ateusz, jak filozof i poeta, Tomasz z Akwinu lub Mill, Tasso lub Shelley—patrzał i patrzeć będzie na ukrzyżowanego Chrystusa z głębokiem wzruszeniem; a jeżeli uczuje żal albo niechęć, to nie dla Mistrza, ale dla przewrotnych uczniów, którzy nadużyli czcigodnego imienia i zmącili czysty zdrój ochrzczonej niem wiary i moralności. Zaiste, szatan historyi dla dogodzenia swej ironii sprawił, że łagodny „baranek boży", który chciał „zgładzić grzechy świata", że „syn człowieczy", który miłością usiłował spoić zwaśnioną ludzkość, że orędownik ubóstwa, który mu zapewnił „królestwo niebieskie"—częstokroć mianowany był i jest patronem nienawiści, gwałtu, rozbestwienia i zbytku. Na krzyżu zawisło serce dobroci i miłosierdzia pełne, a wobec krzyża dzieją się okrucieństwa i zdrożności serc kamiennych. One to, a nie Jezus, są przedmiotem grozy i buntu.

Każda epoka dziejów chrześciaństwa widziała w jego świątyni faryzeuszów, starała się ich z niej wygnać i wskrzesić prawdziwy a przez nich sfałszowany jej zakon. Ta dążność objawia się również w naszych czasach...

. . . . * . . . .

Jaki ustrój duchowy ludzkość mieć będzie za lat tysiące lub później—nie wiemy. Być może, iż wówczas znajdzie ona najwyższe zadowolenie w rozważaniu prawd oderwanych, formuł matematycznych lub praw przyrodniczych; że ustanowi osobne święta dla obwodu koła lub siły ciążenia, że nie będzie potrzebowała wcale symbolów. Dziś jednakże niema takich upodobań, dziś zarówno dla swych myśli, jak dla swych uczuć pragnie ona objawów życia, przedewszystkiem zaś ludzi. Dlatego woli powieści, niż traktaty naukowe, przenosi bohaterów nad systemy filozoficzne, najchętniej zaś zwraca swe oczy ku wielkim postaciom, których głowy widzi w niebie, a stopy na ziemi. Jeden ze starych poetów polskich powiedział: „trudniej jeden dzień przeżyć, niż napisać księgę". Zgodnie z tą uwagą przedmiotem najpowszechniejszego uwielbienia nie są ci, którzy pozostawili światu najmędrsze księgi, ale ci, którzy mu dali najwznioślejsze przykłady życia. W tym ostatnim względzie na szczycie istnień stoi Chrystus, wielkie światło, które przez dziewiętnaście wieków na całym niemal obszarze kultury rozjaśnia ludzkości ciężkie, kręte, zawrotne drogi pochodu. Z łona jej nie narodził się nikt inny, ktoby zaćmił tę promienną postać, ktoby przed Ukrzyżowanym nie pochylił czoła. Nawet twórcy nowych religij, jak Mahomet, nie usiłowali zgasić blasku tej pochodni świata. Jeżeli wyłączymy z rachuby lekkomyślne lub waryackie pokrzyki, nie znajdziemy w chórze dziejów ani jednego poważnego głosu, któryby ubliżył ofierze spełnionej na Golgocie. W tej ofierze każdy prawy rozum, każde czyste serce ma jakąś cząstkę, która jest dla niego drogą, którą kochać i szanować musi. W naszych czasach, kiedy żywioły społeczne, dążenia, zasady, systemy starły się z zapamiętałą nienawiścią, kiedy przeciwnicy i wrogowie zdruzgotali lub sponiewierali wzajemnie swoje bogi, swoje ideały i sztandary, śród tej walki jeden tylko Chrystus pozostał nietkniętym przez żaden zastęp bojowy, śród tej burzy na oceanie życia jedna tylko latarnia krzyża stoi nienaruszona, nawet nieobryzgana pianą rozhukanych fal.

Ile jest gatunków człowieka ucywilizowanego, tyle odmian obchodu pamiątki męczeństwa i zmartwychwstania Chrystusa. Pobożny prostaczek modli się do Zbawiciela, filozof uprzytomnia sobie nieśmiertelną tragedyę poświęcenia dla idei. Ale każdy wie i czuje, że przed tysiącami lat spełnił się wstrząsający akt, który przez tę olbrzymią odległość czasu sięga aż do pni naszych swoją grozą, swojem wrażeniem i swoim wpływem. To nie był wypadek, który leży zagrzebany w pyle wspomnień historycznych, skąd go wydobywają badacze i wtłaczają w głowy uczniom nauczy-

ciele, lecz to był wiosenny grom, którego huk wszyscy dotąd słyszą i blask widzą. Miliardy ludzi narodziły się i umarły w Europie, nie wiedząc nic o Kolumbie i Koperniku, ale może ani jeden człowiek nie zeszedł w tym czasie ze świata, nie wiedząc nic o Jezusie.

I doprawdy, przyznać trzeba, europejski odłam ludzkości jest bardzo szczęśliwy, że najwyższy wzór życia ma w Chrystusie. Jeżeli dziś skarżymy się na przeżytki barbarzyństwa, na ciągłe odchylanie się linii postępu w kierunku popędów zwierzęcych, o ileż okropniejszym byłby stan naszej kultury, gdyby jej rozwojowi przyświecał jakiś śmiały bandyta, jakiś tępiący niewiernych fanatyk, a nie wcielenie dobroci, miłosierdzia, przebaczenia i miłości. Zaiste, trudno ściśle określić, raczej tylko przeczuć i domyśleć się można, ile razy Chrystus uratował ludzkość od powrotu do dzikości, o ile dotąd powstrzymuje ją od rozkiełznania złych instyktów, ile poskramiających i smutnych spojrzeń padło na nas z krzyża. Dla jednych ten krzyż jest pociechą, dla drugich wyrzutem, dla innych groźbą. W imieniu i w obliczu jego spełniają się jeszcze straszne grzechy, dokonywają się zbrodnie, które niegdyś na nim rozpięły Zbawiciela, ale cierpiący, widząc w nich śmierć Chrystusa, wierzy zarazem w jego Zmartwychwstanie.

Kontrastów czynu i słowa z ewangelią nie brak naszej epoce. Zdaje się nawet, jak gdyby ona chciała z jednej strony posunąć sprzeczności do najdalszych krańców, a z drugiej utrzymać pozory zgody tego, co robi, z tem, co wyznaje. Próżny wysiłek! Na jej tle odbijają się ogniste głoski przykazania, będącego dla niej piętnem i napomnieniem: „nie będziesz brał imienia Pana twego nadaremnie“—dodać można—i obłudnie.

...Na szczęście obłuda ta mimo swych rozmiarów nie wygania z dusz ludzkich tego ideału, którego jest zaprzeczeniem. Po ciemnej powierzchni życia przesuwa się ciągle świetlisty cień ukrzyżowanego Zbawiciela i pociąga za sobą spojrzenia zarówno tych, których olśniewa, jak tych, których zawstydza. A chociaż od kilkunastu wieków ludzkość naśladuje Piotra, jednocześnie wierzy w jego Mistrza. Bo w jej zboczeniach tkwią pobudki przemienne, a w jej niedoścignionym wzorze — wieczne. Nie będzie ona już taką, jaką była drużyna Chrystusa, bo posunęła się dalej w rozwoju umysłowym, ale dokądkolwiek zajdzie, nawet stanąwszy na najwyższych szczeblach kultury, musi uznać miłość bliźniego, sprawiedliwość, równość, współczucie dla niedoli, przebaczenie win odpokutowanych żalem — za godła święte. A wtedy na owych szczytach cywilizacyi objawi jej się zmartwychwstały Chrystus, który uczył przed wiekami tych samych prawd i, umierając na krzyżu, nie rzucił swym katom przekleństwa, lecz wyszeptał konającemi ustami słowa przebaczenia!!

* * *

W 1896 r. *Kuryer Warszawski* pomieścił następującą wzmiankę:

„Wielka klęska! Dowiadujemy się o olbrzymiej klęsce pożaru, jakiej ofiarą padła wieś Wielgolas Duchnowski, w powiecie Nowomińskim. Zgorzała literalnie cała wieś, z 40 osad złożona. Stan pogorzelców jest bez wyjścia, stracili bowiem wszystkie zagrody, krescencye, potrawy... A była to wieś jedna z najbogatszych w kraju, ludność jej należała do najoświeceńszej. Większość gospodarzy miała bydło ras wyższych, we wsi nie było karczmy, słowem Wielgolas mógł być wzorem urządzeń włościańskich. I to wszystko poszło z dymem. Pierwszej pomocy nieszczęśliwym udzielił redaktor Świętochowski, mający w pobliżu posiadłość Brzeziny“.

Kiedy wybuchł pożar, Świętochowski był ciężko chory. Przyszedłszy nieco do sił, udał się do pogorzelców i zastał ich w szałasach na polu. A był to październik. Zgorzały nietylko siedziby, lecz wszystkie zapasy żywności, popaliły się nawet pieniądze w chatach. Rodzinę najbiedniejszych, złożoną z 10 osób, zabrał zaraz do swoich Brzezin, gdzie żywił ich przez całą zimę; wszystkim wyjednał bezprocentową pożyczkę od p. Kazimierza Natansona pod zastaw talonów asekuracyjnych, płatnych dopiero w maju; zorganizował pomoc tak skutecznie, że w ciągu najbliższego lata Wielgolas został odbudowany.

Dodać należy, że chłopi najskrupulatniej uiścili wszystkie swe zobowiązania i w terminie wypłacili p. Natansonowi należność co do grosza.

Od tego czasu między nimi a Świętochowskim nawiązał się blizki i serdeczny stosunek, który uspołecznił ich do tego stopnia, że podczas strajku powszechnego w 1905 r. i ogłodzenia Warszawy, oni to właśnie pierwsi i całkiem z własnego natchnienia przybyli z oświadczeniem do Świętochowskiego, że takiego a takiego dnia całą gminą dostawią kartofli i innych produktów dla głodnych: „niech Pan przygotuje miejsce, żebyśmy gdzie zsypać mieli i ogłosi w gazetach; może za naszym przykładem inne gminy to samo zrobią“. I nie omylili się: gmin takich znalazło się wiele. Szły na Waliców, gdzie skład został założony, procesye wozów, z dalszych okolic wagonami nadsyłano kartofle, chleb tysiącami bochenków, mąkę itp. rzeczy.

Do wrót podwórza składowego cisnęły się tłumy głodnego ludu, wszystkich starano się obdzielić. Świętochowski i tu był obecny — osobiście rozdawnictwem kierował.

Taki był początek akcyi ratunkowej w Warszawie — z chłopskich serc Wielgolaskich, sąsiadów, przyjaciół i wychowańców Aleksandra Świętochowskiego.

Z tej pomocy doraźnej rozwinęły się następnie dwie wielkie kuchnie na Towarowej i Przemysłowej, które były czynne przez parę miesięcy i wydały ogółem około siedmdziesięciu tysięcy obiadów.

* * *

W liście, pisanym w r. 1901 z Cirkvenicy do jednego ze znajomych, znajdujemy ów stale zaznaczający się rys uwagi, zwróconej nieustannie ku tym, którzy cierpią i są wydziedziczeni:

„Moje „Duchy“ posuwają się szybko i przy wyjeździe będę miał V część gotową. Mam w tej pracy ciągle pod piórem lud—ludowi też tutejszemu przyglądam się najchętniej Biedny, jak jego bezpłodne skały, spracowany aż do zdarcia rąk—dziwne stanowi tło dla gromady próżniaków, skupionych w Terapii. Kiedyż to życie przestanie być morzem nędzy, po którem pływają okręty zbytku! Jej widmo, które wchodzi do eleganckiego pokoju, staje przy suto zastawionym stole, znajdzie się przy każdej wygodzie—jest straszną marą, prześladującą tych, co niedoli ofiarowali swoje współczucie, ale zachowali sobie jeszcze prawo do lepszego życia. Wszystkie jego dobrodziejstwa, których używamy z przywileju, są zatrute.“

W czterdziestą rocznicę założenia Szkoły Głównej Świętochowski uczcił jej pamięć następującem przemówieniem na zebraniu w Filharmonii, 6 czerwca 1903 r.

„Stanął między nami duch kochanej i żywcem pogrzebionej szkoły, jasna, piękna mara, którą czas odsunął już dość daleko, a którą serca nasze zatrzymują wciąż blizko.

Wobec tego żywego wspomnienia, wobec tej wytrwałej czci dla instytucyi, która narodziła się przed 40 laty, a żyła zaledwie lat 7, może wszyscy pytaliśmy siebie, czy nasza miłość dla niej jest natchniona rzeczywistą jej wartością, a nasz żal po niej wielką stratą, czy też może jest to jeden z trenów późniejszego wieku, opromieniającego zawsze minioną przeszłość, jeden z owych jedwabistych kokonów, którym się oprzędza każdą młodość, a z którego nici osnuwa tkankę złudzeń każda starość. Nie! Szkoła Główna nawet rozodziana z uroków, w jakie ją przybrało nasze młodzieńcze kochanie, ma prawo do wdzięcznej, żałobnej pamięci całego narodu.

Już pod koniec XVIII wieku zrozumiał on, że w jego domu jest za ciemno i że musi w nim rozpalić nowe ognisko wyższej wiedzy.

Jedno z nich bowiem, krakowskie — płonęło słabo; zamojskie, zagasło. Ale zanim zdołał oświetlić swoją siedzibę—została ona rozebrana i na trzy przebudowana.

Ta rozbiorowo - kongresowa lepianka, która po różnych przeróbkach i nazwach utrzymała się wreszcie—jako Królestwo Polskie—na początku XIX w. nie miała wielkiego ołtarza nauki. Wzniesiono go naprzód (akurat przed 100 laty), rozszerzywszy stary ołtarzyk jezuicki w Wilnie, a następnie wprowadzono nowy, dość okazały w Warszawie. Po burzy wszakże w r. 1830 racya stanu, karcąc zrozpaczony poryw narodu, zamknęła mu obie wszechnice. Odtąd przez lat 30 na tym odłamie Polski nie było wcale pełnego uniwersytetu, a jego brak łatano szkołami wydziałowemi, które go zastąpić nie mogły.

Tymczasem społeczeństwo, zawiedzione i zdruzgotane w przedsięwzięciach polityczno - wojennych, instynktownie i świadomie chciało ratować swój byt na innych drogach, a między niemi na tej, którą mu nakazywali w zeszłym wieku mądrzy reformatorowie oświaty z Komisyi edukacyjnej. Młodzież przypomniała sobie słowa Czartoryskiego, wypowiedziane do kadetów: „Wy, płód nowy, niech Was prowadzi ta sama ambicya, ażebyście odmienili starą postać kraju swojego i roznosząc światła, oswobodzili ojczyznę od strasznych tyranów niewiadomości i prewencyi, ażebyście umiłowaną palili ofiarę dobru publicznemu z tych uprzedzeń i błędów, które nierozsądek postanowił, przeciąg czasu poświęcił, potomek od przodka bez roztrząśnienia przyjął“.

Młodzież szczerze pragnęła podjąć to wielkie zadanie, ale nie miała gdzie czerpać do niego sił umysłowych: w kraju nie było odpowiedniego źródła, a od zagranicznych przegradzał ją wysoki mur.

Życie tedy, które zawsze ma moc wielką i głos donośny, napierało swoją gwałtowną potrzebą i domagało się otworzenia wszechnicy w Warszawie. Po uśmierzeniu się bowiem ostrych cierpień operacyi podziałowej, w łonie wykrojonego z dawnej Polski Królestwa, Warszawa stała się punktem ośrodkowym kultury narodowej, a w tym punkcie brakło jednej z najważniejszych jej dźwigni — uniwersytetu. W takich warunkach, jako zadośćuczynienie nieodpartej potrzebie społeczeństwa, liczącego tysiąc lat cywilizacyi, niemogącego

przeto rozwijać się bez instytucyj, niezbędnych dla ludów oświeconych, powstała Warszawska Szkoła Główna.

Otworzono ją niemal w przeddzień nowego wybuchu narodowego, grunt więc społeczny pod nią drżał. Czując to drżenie, zacny jej rektor, Mianowski, nakłaniał w swej przemowie studentów do spokojnej pracy, zalecał im troskliwe pielęgnowanie tego „zadatku życia narodowego", prosił, ażeby w tej przestrodze „ocenili trwożną miłość słów jego" i zakończył: „W ręku naszem są tylko rządy Szkoły Głównej, w ręku szlachetnej młodzieży są jej losy". Każdy naród i każdy człowiek zależnie od warunków zmienia ustopniowanie swych potrzeb, obowiązków i celów. Niezawsze za najpilniejsze zadanie uważa on naukę, lecz czasem walkę. Byłoby też zupełnie zrozumiałem i usprawiedliwionem psychologicznie, gdyby ta podniecona, rozgorączkowana młodzież nie usłuchała była nawet tak serdecznej odezwy i niepamiętna na skutki, rzuciła się całą gromadą w uragan, który wszystkich ogarnął i unosił. A jednakże ona tego nie zrobiła. Po naradzie w teatrze anatomicznym mniejszość postanowiła opuścić szkołę, zniknęła i w znacznej części zginęła, a większość pozostała i przepłynęła w swym okręcie przez burzę bez rozbicia, nawet bez chwilowego niebezpieczeństwa. Za to otrzymała ona z Krakowa, jako symboliczne odznaczenie, babie wrzeciono. Wrzeciono to miało wówczas jedną wymowę, a dziś ma drugą. Wtedy było wyrazem urągliwej nagany dla lękliwości, dziś jest dowodem nadzwyczajnego pożądania nauki i rozumienia żywiołowej jej konieczności dla życia narodu. I rzeczywiście—jak ona strasznie się uczyła! Przeważnie tak biedna, że wielu po kilka lat nie jadało obiadu, była przytem tak cicha, że akta sędziowskie Szkoły w całem siedmioleciu nie zapisały ani jednego buntu lub poważniejszego wykroczenia studentów.

Wiadomo, że z nich wyszło lwie pokolenie, wyszedł długi szereg ludzi wielkiej a nawet wyjątkowej wartości, że zabłysnęły między nimi wspaniałe talenty i mocne umysły badawcze, że stworzyli oni jeden z najpiękniejszych okresów w naszej literaturze, że wywołali potężny ruch umysłowy, którego fale i prądy dotąd przez nasze życie przepływają. Nie mogło to być dziełem przypadku, lecz w znacznej mierze było zasługą Szkoły Głównej. Wydobyła ona ze społeczeństwa masę świeżych sił, które bez jej opieki byłyby znikły lub zmarniały, wyzyskała umiejętnie zapał młodzieży do nauki i dążność ogółu do oświaty, dała znowu jego inteligencyi atmosferę naukową, a jego myślom lot swobodny i górny, stapiała różnorodne pierwiastki społeczne w ogniu koleżeństwa i przygotowała glebę pod nowy zasiew demokracyi, przywróciła a przynajmniej zaczęła przywracać, równowagę duchową narodu, naruszoną jednostronnym rozwojem artystycznym, przelała nadmiar energii z serca do mózgu. A jeżeli prawdą jest, co mówi jeden z historyków niemieckich, Bruggen, że Polacy nie przeszli odrodzenia umysłowego, że mieliśmy tylko reformacyę kościoła, a nie mieliśmy reformacyi całego życia umysłowego, że przy końcu XVIII w. byliśmy w 4 klasie szkoły świata, którą inne narody ukończyły, to niewątpliwie dzięki naszej wszechnicy odrobiliśmy dużą część zaległej pracy odrodzenia i posunęliśmy się w owej szkole świata dużo wyżej. A nie zapominajmy, że stało się to w ciągu 7 lat zaledwie. Dokonała zaś ona tego nietylko swoją mocą naukową, jaką jej dali profesorowie, lecz także swoim charakterem narodowym. Była polską. Młodzież, słuchając wykładów w języku ojczystym, wolną jest od wielu czynników psychicznych, które polot myśli hamują, a na uczucia działają również w sposób ziębiący raczej zapał do pracy i odciągający od niej. W takiej szkole prawie cała dusza może się oddać nauce. Nadto ta nauka nie w każdej postaci jednako do umysłów przenika i jednako na nie działa. Prawd niewzruszonych, powszechnych,jest mało, jeśli wogóle są, większość ich stanowi rozmaite odmiany poznania, zależne w swym kształcie a nawet treści od form psychicznych miejsca i czasu.

Duch zbiorowy każdego narodu jest odrębnym pryzmatem, w którym inaczej niż w innych załamują się promienie światła wiedzy, albo też jest on odrębnym organizmem, który odżywiać się może pomyślnie tylko wiedzą do jego natury zastosowaną. Szkoła narodowa podaje społeczeństwu ten pokarm w stanie największej przyswajalności i dlatego najlepiej podtrzymuje w nim zdrowie i żywotność. To właśnie czyniła Szkoła Główna. A nie jest to patryotyczny sofizmat, lecz wniosek z doświadczeń wyciągnięty. Bo ile razy mieliśmy wszechnicę polską, zawsze jej wpływ głęboki odbijał się natychmiast i wyraźnie w rozwoju kultury narodu.

Wiemy, jak dobroczynnie na nią oddziałał uniwersytety warszawski i wileński, wiemy jaka z nich jasność na kraj uderzyła i wiemy, jakie po zamknięciu ich spadły na niego mroki.

A jeżeli tak było, jeżeli umysłowy postęp narodu zależy w znacznej mierze od jego zbiornika wyższej wiedzy, to nie dla zadowolenia ciekawości narzuca się nam pytanie: czy też społeczeństwo nasze doczeka jeszcze takiej szkoły, jak ta, której pamiątkę narodzin dziś obchodzimy? Prorocy rzeczywistości, obejmujący wzrokiem tylko obecny jej widnokrąg, odpowiedzą nam przecząco. Ale jak bywa czas, który śmiałe przypuszczenia wyrzuca po za najdalsze granice możliwości, tak bywa czas, który je wprowadza w najbliższe. Zresztą, o ile i dopóki człowiek żyje, nie może rozstać się z takim koniecznym warunkiem życia człowieczego, jakim jest nadzieja. Gdy od człowieka odbiegną wszystkie opiekuńcze potęgi losu, gdy go opuści przyjaźń, sprawiedliwość, miłosierdzie, ona jedna przy nim pozostaje, ona odpędza od niego upiory zwątpienia i rozpaczy, ona konającemu wsącza jeszcze w usta krople życiodawcze. Ona również, ta dobra, czuła i niezmienna pocieszycielka, stoi śród nas, stoi obok jasnego widma naszej szkoły. Obie te mary widzialne są dla tych dusz, które czczą wielkie wczoraj, pracują dla wielkiego jutra, — dla dusz, które umieją spełniać ostatnią wolę płodnej śmierci i wychowywać jej potomstwo: zmartwychwstanie, dla dusz, które słyszą nietylko coraz słabsze echa kroków przeszłości, odnoszącej urnę z prochami zgonu, ale także coraz silniejsze odgłosy stąpań przyszłości, niosącej czarę odrodzenia, — dla dusz, które po za smutną zorzą wieczora odgadują radośny świt poranku, dla których największa i najczarniejsza chmura nie gasi słońca, tylko je zasłania.

Na cześć tych dusz, które między Wami bądź widzę, bądź się domyślam, pozwólcie Panowie wznieść toast.

* * *

Gdy przeszła przez nasze niwy i miasta fala, druzgocząca tamy, wyzwoliła ona nietylko — na chwilę — skute piękno i siłę myśli narodowej, ale — na długo — wykarmione w podziemiach krwiożercze bestye najniższych instynktów czerni ludzkiej. Rozpoczął się najsmutniejszy od lat czterdziestu okres życia naszego, w którym są karty tak pełne hańby i brudu, jakich nie było od czasu niezapomnianej pamięci Ponińskich i Branickich. Rozpoczęły się również bolesne nieporozumienia w sferze myśli politycznej i społecznej. Jedno z takich fatalnych nieporozumień dotknęło brudną ręką imienia Świętochowskiego. Poczęto mu — z pewnych kół, które zdołały obałamucić nawet czcigodnego starca T. T. Jeża — wyrzucać brak patryotyzmu, szerzenie uczuć przeciwnarodowych, patronowanie bandom zbójeckim, opiekę nad rozszalałym w swej bydlęcości żywiołem, ojcostwo strajków, rabunku, bratobójstwa. Aby oświetlić właściwie stanowisko Świętochowskiego w tych oczach, które patrzą nań jeszcze przez ogólnie rozpowszechnione, sfałszowane okulary partyjne, przytaczam wyjątki z jego przemówień i artykułów.

Kiedy na jednym z wieców padły słowa „precz z Polską" — i były oklaskiwane — nikt nie wystąpił na razie z protestem. Ale nie milczał Świętochowski i głos jego zabrzmiał żelazem zgrozy i łzami żalu. (*Prawda*, Nr. 49 r. 1905).

„Orzeł polski, który kąpiąc się przez sto lat niewoli w łzach narodu, zmył ze swych białych piór krew wojen i kurz niskich lotów, który wzniósłszy się wysoko, zabłysł w podniebiu niepokalaną śnieżnością, — stał się w ostatnich czasach celem zawziętych strzałów. Uznano w nim zwyczajnego drapieżcę, szlacheckiego sokoła, wytresowanego w łowieniu bezbronnych ptaków, który w potrzebie zamienia się na księżego gołębia, zawieszonego jako duch święty nad trzodą pobożnych owiec. Ci, dla których przeszłość jest kończącą się nocą, dziś — brzaskiem, a jutro — pierwszym dniem nigdy niezachodzącego słońca, chcieliby tego orła zabić, wypchać i umieścić w muzeum między przeżytkami, które w przyszłości zmartwychwstać nie mogą, bo nie powinny. Czy on rzeczywiście godzien takiego tylko losu? Czy usymbolizowany w nim duch zabitej Polski jest tylko trupiem widmem, straszącem twórców nowego życia? Czy on zawsze siedział na chorągwiach wrogów ludu i nie przelatywał na sztandary jego obrońców? Czy od lat 90 drzemie oślepły i bezwładny na wierzchu grobowej kolumny, śniąc o minionej rozkoszy swych szponów, które mu wyłamano? Jedną z najokrutniejszych jędz bywa nieświadomość — i jej głównie zawdzięcza on tę swoją krzywdę. Nasz bowiem orzeł uczestniczył we wszystkich walkach o wolność, jakie w przeszłem stuleciu ludzkość toczyła na całym obszarze świata cywilizowanego. Nie ma drugiej społeczności, którąby tą zasługą mogła się równać z nami. U nas odbywał się nieustanny pobór rekruta dla wszelkich rewolucyj, a każde wezwanie do obrony przeciw uciskowi na jakimkolwiek punkcie ziemi zawsze znajdowało nas pod bronią, tak dalece, że w tych bojach nieraz zdobywaliśmy wawrzyny Don Kiszotów. Było to zupełnie naturalnem zarówno ze względu na naszą naturę, jak ze względu na naszą niewolę. Naród, który najwcześniej w Europie dał klasom panującym najszersze swobody konstytucyjne, który niepodległość pełnoprawnego obywatela posunął aż do *liberum veto*, który niemal zatomizował się na niezależne jednostki, który przez kilku wieków był orędownikiem i opiekunem ofiar wszelkiego prześladowania, który nawet swój ucisk na warstwy upośledzone wywierał ręką najmiększą ze wszystkich rąk tyranii społecznej — taki naród musiał być czcicielem wolności... Najulubieńszy nasz bohater narodowy

Kościuszko, który przywdział sukmanę chłopską, który tu bił się za Ojczyznę swoją, a w Ameryce za niepodległość obcą, jest doskonałem wcieleniem ducha polskiego z czasu niewoli...

...Mylą się bardzo ci, którzy sądzą, że jakakolwiek moc zdoła przeciąć tkaninę życia społecznego i rozpocząć nową z innego kłębka. Tkanina ta bowiem snuje się nieprzerwanie z nici jednego pasma, zmienia ona tylko swoje wzory. Cokolwiek my dziś głosimy i jakkolwiek przeciwstawiamy się przeszłości, jesteśmy dalszym jej ciągiem. W tym rozwoju niema żadnego sensu „precz” po za wrzawą swawoli i przechwałki. Tem bardziej krzyk taki jest pustym i bluźnierczym dźwiękiem u nas, którzy tak skwapliwie i starannie omiatamy starą pajęczynę na ścianach naszego domu. W szacie polskiego słowa występowały już najskrajniejsze teorye, przez myśl polską przebiegały najgwałtowniejsze prądy, zasługę naszą szerzenia sprawiedliwości uczciły nie kocięta radykalizmu, ale jego lwy, jesteśmy dawną, doskonale wylegitymowaną szlachtą wolności, wstydzić się przeto ani swego rodowodu, ani nazwiska nie potrzebujemy.”

W Nr. 1 *Prawdy* z r. b. Świętochowski pisze:

„Przed wstąpieniem na próg nowego roku mimowolnie obracamy się wstecz, dla ogarnięcia spojrzeniem całej przebytej drogi, liczymy zapas, który wnosimy do najbliższej przyszłości. Co widzimy po za sobą? Szlak gościńca wygnieconego kołami wozów i odciskami stóp, ale przedewszystkiem porytego wyrwami i śladami gwałtownej walki. We wszystkich zaś tych wyżłobieniach i dołach krew — zastygła i świeża, czysta i zmieszana z błotem, leżąca tu kałużą, tam bryzgiem, rzuconym daleko na przyległe niwy, na których zamiast zagonów ciągną się długie szeregi mogił. Między niemi stoją lub posuwają się postacie obłąkane rozpaczą, oniemiałe morderczym smutkiem, krzyczące niewstrzymanym bólem. Po nad tym ogromnym, aż do brzegów widnokręgu rozpostartym cmentarzem unosi się gęsty opar krwi, wsiąkłej w ziemię, który zakrywa słońce i w którym kotłują się nieprzerwanie echa jęków i złorzeczeń. Kiedyś, gdy zamknie się ostani grób nad ostatnią ofiarą obecnej walki, gdy po tem polu przejdą pługi i zorzą jego mogiły, czy ono okaże się płodniejszem dla wsianych w nie ziaren życia? Można wątpić; prawdopodobnie długo rodzić będzie chwasty, zagłuszające posiew, głęboko wkorzenione i do wypielenia trudne.

Wchodzimy tedy w nowy rok z okropnemi wspomnieniami i bez krzepiącej nadziei. Myśl, że dalej przebywać będziemy krwawą drogę, której kresu nie widać, jest bezlitosnym wyrokiem nieubłaganego losu. Rzucił on na potępione pokolenia nasze straszną klątwę: szczęśliwsza dola będzie dla was tylko chwilową błyskawicą,po której spadną pioruny, a nie stałem światłem, opromieniającem życie; prądy wolności nie będą ożywczemi tchnieniami wiosny, ale mroźną zawieją zimy; opadną z waszych rąk kajdany nie po to, ażeby was wyzwolić do ratunku i pracy, lecz po to, ażebyście mogli swobodniej dusić się wzajemnie; siła, którą zdobyliście mozołem w niewoli, posłuży wam nie do zmartwychwstania, ale do samobójstwa; energię, którą zaoszczędziliście sobie w dorobku, przegracie w hazardzie szału; czego wam nie zdołał wydrzeć ucisk, to sami stracicie w bratobójczej walce, a daremnie pouczacie się, przekonywacie, błagacie — musicie mordować jedni drugich, dopóki nie wyczerpie się nienawiść, która was ożywia, bo ona jest jedyną waszą mocą..

...Trudno przekroczyć imaginacyą to krwawe trzęsawisko, przez które obecnie brniemy i wyobrazić sobie, jak ono kiedyś wyglądać będzie z oddalenia historyi. Co do mnie, sądzę, ze gdy ono stężeje, nie wydu się naszym potomkom ani olbrzymimi zwałami skrzepłej ławy, ani wysoko wzdętemi górami zmarzłych bałwanów morza, ale tylko osuszonem bagnem, na którem nie wyrosną niebotyczne drzewa, lecz karłowate krzaki i kwaśne, chude trawy. Wolałbym, ażeby w tej przepowiedni okazała się raczej moja krótkowzroczność, niż nędza życia; nie mogę jednak w bieżącej dobie dostrzedz rysów wielkości. My nie płyniemy w długiej fali, przetaczającej się nad głębią, ale idziemy przez grząskie i płytkie błoto, które pod wpływem wichru łamie się drobnemi zmarszczkami. Źródłem też naszego smutku nie jest przerażająca masa ofiar, ginących w rozpalonem wnętrzu Molocha, ale to przeświadczenie, że je pożera martwe, bezwładne, niezdolne nas za nie wynagrodzić bożyszcze. My przy naszych tegoczesnych warsztatach nie wyrabiamy tkaniny dziejów ze wspaniałymi obrazami, ale szare zgrzebne płótno, na którem rozrzucone są bezładnie czerwone plamy bądź od bratobojczych ran, bądź od suchotniczych krwotoków, bądź od rozgniecionego robactwa”.

W Nr. 39 *Prawdy* znajdujemy *Liberum veto* p. t. *Fatalna siła.*

„Czy was nie uderza w obecnym rozpadzie uczuć moralnych i rozstroju stosunków społecznych dziwny upór mordu i rabunku, lekceważący największe niebezpieczeństwa? Zdarzają się objawy, których zwykłą logiką czynów ludzkich niepodobna wytłomaczyć. Jakkolwiek usiłowano karze śmierci odmówić wszelkiego wpływu na powstrzymanie występków przez nią zagrożonych, nie ulega wątpliwości, że obawa utraty życia stanowi dla nich hamulec. Instynkt samozachowawczy jest zbyt potężnym, ażeby on w grze i walce pobudek nie przemawiał głosem najbardziej przekonywającym. A jednakże patrzymy ciągle na fakty, które zdają się dowodzić, że on w pewnych warunkach przestaje oddziaływać na wolę ludzką. Idzie ulicą patrol: zastępuje mu drogę paru robotników, którzy strzelają do niego z rewolwerów; patrol albo ich zabija, albo chwyta i oddaje sądowi wojennemu, który skazuje ich na śmierć. Co znaczy to straszne ryzyko, w którem możliwość powodzenia i jego korzyść są bardzo małe, podczas gdy możliwość niepowodzenia i jego skutek są bardzo wielkie? Bo przecie ucieczka po zamachu w takich warunkach jest prawie wyłączoną, a najpomyślniejszy jego wynik: zabicie żołnierza, niewinnego człowieka, nie może dać zadowolenia, wyrównywającego utracie własnego życia. W innej dziedzinie spotykamy tę samą nieproporcyonalność. Gdy dawniej rabuś stawiał na kartę zdobycz przeciw kilku miesiącom więzienia lub kilku latom rot aresztanckich — był jeszcze zrozumiałym; ale gdy dziś za paręset rubli oddaje głowę pod szubienicę—trudno go pojąć. Ponieważ zaś nie są to wypadki rzadkie, lecz częste, ponieważ niemal we wszystkich zjawiskach obecnego przełomu i rozkładu występuje ciągle niestosunkowość stawek gry do jej rezultatów, musi tu działać jakaś siła po za obrębem logicznego rozumowania.

Siła ta jest jedną z najciekawszych. Należy ona nie do duszy osobnika, ale do duszy zbiorowiska ludzkiego, a rozwija się tak niepostrzeżenie, w sferach tak niedostępnych zwykłym drogom obserwacyi, że wszystkie jej przejawy są dla nas nagłe i niespodziewane. Jeżeli porozumiemy się pojedynczo z każdym członkiem jakiegoś zebrania, to wcale nie będziemy jeszcze pewni, jaką ono poweźmie uchwałę. Jeżeli znamy przekonania i nastrój ludzi, zgromadzonych w tłumie, to bynajmniej nie wiemy, jak on się zachowa nawet w takiem położeniu, w jakiem go już widzieliśmy nieraz. Nieobliczalnym jest bowiem przebieg i skutek zapalenia się uczuć jednych od drugich. Gdy społeczeństwo pod ciężarem zewnętrznego ucisku ulegnie rozczłonkowaniu; gdy jego życie stanowi sumę życia jednostek; gdy ono jest ich mechanicznym zlepkiem a nie złożonym z nich organizmem, wtedy daleko łatwiej dadzą się przewidzieć wszystkie jego ruchy, które są wypadkową ruchów osobnïczych. Ale gdy ono zacznie się całkować, gdy jego żywioły skupią się dla wspólnych działań, wówczas rachunek prawdopodobieństwa zwykle zawodzi. Naród nasz aż do pierwszych bólów porodu konstytucyjnego w Rosyi żył zupełnie zatomizowany, łącząc jednostki niemal wyłącznie stosunkami towarzyskimi: przez sto lat mieliśmy zaledwie parę sposobności badania jego psychologii zbiorowej, a przez lat 40 — żadnej. Więc gdy dziś jego pierwiastki złączyły się, są one dla nas czynnikami zagadkowymi. Jeżeli tedy dusza masy społecznej jest wszędzie nieobliczalną, to u nas jest ona duszą sfinksa. Co w niej się zalęgło, co dojrzało, co prze z niepohamowaną mocą do czynu — tego my wcale nie wiemy. Nie wiemy też, skąd wyszła owa straszna siła, która ciska gromady ludzi w otchłań mordu, rabunku i śmierci. Widzimy tylko, że ona tworzy fatalizm, którego nie mogą złamać ani groźby, ani kary, ani zaklęcia, ani perswazye. Potęga ta wkłada nieraz do rąk broń ludziom łagodnym, każe im mordować, często bezmyślnie i okrutnie, grabić, siać zniszczenie, rozstrój i klęski. Są oni tak głusi na wszelkie skargi i ślepi na wszelkie dowody klęsk, jak głuchym i ślepym jest piorun lub choroba. Oni muszą biedz po linii tajemniczego rzutu, dopóki nie wyczerpią całego rozpędu. Nie myślmy, że posiadają jasną świadomość celu i skutku swych czynów: cóś im się majaczy, ale zwykle poprzestają na odczuciu determinizmu chwili. „Tak robić trzeba... należy... to jest wskazane... nieuniknione... najwłaściwsze” — oto światełko, które się pali w ich sumieniu i przyświeca ich czynom.

Uznając wszakże całą zagadkowość objawów woli masy społecznej i całą trudność zrozumienia tej tragedyi, która się rozgrywa przed naszemi oczami, nie możemy zrzec się chęci zaanalizowania jej. Nie możemy pozostawić bez odpowiedzi pytań: dlaczego nasza rewolucya ugrzęzła w błocie; dlaczego nasz socyalizm jest albo kosmopolityzmem robotniczym z wyprutymi nerwami narodowymi, albo awanturniczą partyzantką; dlaczego nasz lud fabryczny nurza się ciągle we krwi, a nasze męty społeczne płyną łożyskami rozboju? Czy nie znamy żadnych przyczyn, z których padałby bodaj częściowe światło na te ponure objawy? Rzecz naturalna, my — jak każdy naród—jesteśmy produktem wewnętrznych czynników i zewnętrznych warunków naszego rozwoju. Otóż co one nam dały? Brzmi to paradoksalnie, a przecież jest prawdą, że nas od początku życia historycznego aż do dziś wychowywała samowola z tą tylko różnicą, że naprzód była to samowola gwałcącej prawa szlachty polskiej, a potem gwałcącej prawa biurokracyi rosyjskiej. W przejściu od niepodle-

głości do poddaństwa zmieniła się dla nas jedynie postać gwałtu. Możnowładca polski mógł urągać wszelkim ustawom i łamać je siłą; szlachcic średniego kalibru mógł trapić lud wszystkimi wybrykami swego kaprysu: to samo czynił później z nami możnowładca biurokratyczny i zwykły urzędnik. My nigdy nie znaliśmy siły prawa i nie czuliśmy dla niego szacunku. Dla nas istniała zawsze tylko jedna potęga, z którą należało się liczyć—samowola jakiejkolwiek przemocy. Nasi przodkowie bali się wielkich panów, my baliśmy się gubernatorów, naczelników powiatu, wreszcie prostych policyantów. Czego od nas żądało i co nam dawało prawo — o tem nawet nie dowiadywaliśmy się; ale wiedzieliśmy dokładnie, czego wymaga i co nam zapewnia każda osobistość, dopuszczająca się względem nas bezkarnego gwałtu. My nie pojmujemy Niemca, który po wyjściu nowej ustawy myśli, jak do niej dopasować swoje życie, bo zawsze myśleliśmy tylko, jak ją obejść; my nigdy nie zdołamy wyobrazić so ie Anglika, który na każdem stanowisku kieruje się wyłącznie prawem i nie słucha nawet najwyższej woli, jeśli ona z niem się nie zgadza. Nas wychowało i wykształciło bezprawie, dlatego wnosimy je do wszystkich naszych czynów, ono przenika naszą naturę, stanowi nasz głęboko zakorzeniony nałóg. Cóż tedy dziwnego, że nasza rewolucyjność przybrała formę dawnych zajazdów szlacheckich, że nasz socyalizm zamienił się na zbrojną konfederacyę, że nasz lud roboczy tak wyciąga przy lada sporze rewolwer, jak karmazyn wyciągał szablę? Gdy namiętności, które nigdy nie czuły wewnętrznego hamulca, rozpaliły się w walce, pękło łatwo kiełzno zewnętrzne i oto zakotłowała się przed nami orgia dzikich instynktów. Wyglądamy, jak rozbiegane konie, które pędzą na oślep, nie bacząc, że wóz roztrzaskują i siebie zabiją.

To jest, według mnie, główne źródło tej fatalnej siły, która strąca tysiące ludzi w przepaść niedoli i zbrodni. My nie jesteśmy narodem kulturalnym, dlatego tak szybko przeskakujemy w stan barbarzyństwa; my jesteśmy tworem samowoli, dlatego chętnie posługujemy się gwałtem; my wyrośliśmy w bezprawiu, dlatego lubimy je wykonywać. Jeżeli zaś tak jest, to daremnie łudzilibyśmy się nadzieją, że kazania z ambon i kolumn dziennikarskich, że apostrofy obywatelskie i surowe kary sądów zahamują upust krwi, stłumią wrzenie i przywrócą porządek. Bynajmniej. Bandyci będą ciągle powtarzali pod szubienicą, jak ów cygan, o którym wspomina Simmel: „Po co nas wieszacie, kiedy my nie umieramy"? Taki zamęt może trwać dziesiątki lat, może uczynić z naszego kraju podobiznę półwyspu Bałkańskiego. Jedynym ratunkiem byłoby danie społeczeństwu możności samodzielnego zorganizowania się na podstawie praw jego dobru odpowiednich i przez nie szanowanych. Wtedy ono wyleczyłoby się z obecnych konwulsyj, wtedy skanalizowałoby swoje życie i wyprowadziłoby zeń męty. Ale na to nawet jeszcze kur nie pieje. Więc będziemy dalej odcinali łby wewnętrznej hydrze, które jej ciągle odrastają, dopóki albo nie zdechnie, albo nas nie udusi."

Takie słowa — a mógłbym ich przytoczyć znacznie więcej — wymownie świadczą o prawdzie zarzutów, ciskanych z jakąś uporczywą ślepotą przez ludzi, którzy albo nie znają zupełnie działalności i pism Świętochowskiego, albo znając je, z tem większą zaciętością świadomego kłamstwa szerzą potwarz.

W pośpiesznej, gorączkowo dokonanej pracy dziennikarskiej nie mogłem ani wyczerpać, ani pogłębić, ani nawet opracować materyału, który czeka, jak góra surowych dyamentów, ręki artysty. Życie to całe jest jednym wielkim poematem o Szekspirowskiej potędze ducha i skali uczuć. Z tych niebios ogromnych wyrwałem tylko kilka większych i mniejszych gwiazd uczucia, aby spleść wianek pamiątkowy z jego własnych promieni...

Czterdzieści lat jego pracy — jest to tyleż lat spalania się serca ogniem troski nieustannej, czujnej i niestrudzonej, troski o dobro człowieka, o dobro, wartość i bogactwo narodu, któremu bez żadnej pamięci na obelgi doznane, bez żadnej nadziei hołdów zasłużonych, oddaje i dziś cały swój w olbrzymią wiedzę uzbrojony umysł, u steru pracy ciężkiej i niewdzięcznej, żmudnej i pozbawionej blasku; sternik nieustraszony, niestrudzony, bezsenny, wpatrzony w jedno wielkie widmo: przyszłość narodu.

Mamert Wikszemski.

Praca artystyczna.

«Nad ich czołem błyszczą nie znaki jednostkowych przeznaczeń, ale gwiazdy cywilizacyjnych idei.»

Po czterdziestoletniej działalności literackiej Aleksandra Świętochowskiego ułożył się w społeczeństwie dziwny stosunek do niego: jedni bronią jego nieprzestarzałości, broniąc aktualności haseł, rzuconych w dziełach; drudzy zarzucają niewspółczesność, nie mogąc odnaleźć w nim—siebie. Tymczasem niektóre hasła tak już weszły w nasze życie, że ich nie zauważamy, jak człowiek, biegle władający jakimś językiem, nie zauważa techniki mówienia. Niestety, zapomnieliśmy nawet o ich rodowodzie. I nie hasła te dla nas są ważne. Chodzi o te oczy mądre, które widziały, mniejsza o to — *co* widziały. Z czasem cała zjawa, która się przesunęła w dziełach Szekspira i Dantego staje się niezrozumiałym bez komentarzy dokumentem historycznym. Lecz pozostaje część niezniszczalna — kąt widzenia, pod którym twórca ujął pstrociznę zdarzeń, dominanta jego osobowości, wzbogacająca ludzkość, treść rzeczy, którą znalazł w łupinie pozorów. Ważne są te oczy, które gdy raz już patrzeć poczęły, każdą rzecz ujrzą po swojemu, oświetlą nieoczekiwaną smugą światła i będą to teleskopem dla gwiazd niebieskich, to mikroskopem dla grudki błota. Ważnem jest nie to, co nam pokazują, ważnem jest to, że nas przytem uczą patrzeć.

A że nie je den nie znajduje siebie w utworach Świętochowskiego; — wszak jego talent nie jest camerą obscurą do autentycznych odbitek. On nie świat w swe łono przyjmuje, by go odtworzyć, lecz myśl swoją w świat wysyła i glinę świata silną ręką zgarnia, by z niej myśli swej maskę widomą ulepić. Nie siebie w nim odnajdywać — jego brać w komunii kryształowych, wyżynnych uniesień powinniśmy.

„Praca organiczna", pozytywizm, determinizm, ewolucyjność moralności, potępienie przesądów społecznych, wyzwalającej się duszy kobiecej problemat — wszystko to już przeszło ze stronic jego dzieł na jałowy grunt społeczeństwa, zakwitło tam lub już przekwitło, by w nowej odżyć formie. Zatrzymawszy się na chwilę w jasnym okręgu wiadomego, znowu się rwiemy w ciemne, chaotyczne, niezbadane otchłanie tajemnicy, w coraz to nowy sposób formułujemy nasz stosunek do świata, w coraz to innych barwach utrwalamy nasze chwile. Lecz Świętochowski zawsze jest.

Jest jako imanentny pierwiastek życia, jako pewna swoistość niespostrzeżenie w nas istniejąca. Dokoła gąszczary dążeń obłąkanych, dokoła spiekłe pustynie pragnień nieziszczalnych, dokoła głucho szumiące morza męki naszej, skute obręczą horyzontu, niby kajdannem ogniwem łańcucha konieczności · przyrody — a gdzieś tam źródło przezroczne i chłodne. Niema wahań się, ani upadków; wszystko wiadome, wszystko harmonijnie uposągowane, a każdy posąg — to odpowiedź. Widzialne—to zostało objęte życzliwem ramieniem brata w „Damianie Capenko", „Chawie Rubin", „Karlu Krugu", „Klemensie Borucie". w obrazach niewoli starogreckiej, to podeptane stopą wzgardy w „Tragikomedyi prawdy" i innych.

Dobrze wiedzieć, że jest gdzieś źródło przezroczne i chłodne.

Jak równe, niejaskrawe światło ogarnia nas powaga myśli przemyślanej do końca, powaga konsekwentnego wniosku. Wszystko tu niezbyteczne, wszystko nieuniknione, jak prawo przyczynowości. Myśli uosobione łudzą nas mową wyobrażeń. Całe dzieło Świętochowskiego — to niezrównana hipostaza. bezkształt abstrakcyi przekuty żelazną dłonią w kształt konkretny.

Przewaga pierwiastku myślowego, jakkolwiek jest cechą jego własną, była potrzebna temu okresowi, który on ukształtował. Społeczeństwo nie miało jeszcze wtedy świadomości, tylko instynkty i odruchy. Trzeba było je wyplenić, jak chwasty szkodliwe, a świadomość obudzić. To nie brak uczuciowości lub liryki. Świętochowski walczy nie z tęsknotą pozaświatową, lecz z dogmatyzmem kruchcianym, nie z marzycielstwem, lecz z biernością.

Myśl czynna, różniczująca, analityczna musiała mu dać silne poczucie własnej odrębności. Najdumniejsze stwierdzenie własnego „ja" wyraża się w Kartezyuszowskiem „myślę, więc jestem". W siódmym dziesiątku lat, gdy Świętochowski zaczął swą działalność, jednostka musiała się wyzwolić z sieci konwenansów, szablonów, kłamstw i oportunizmów, z pod jarzma kruchty i salonu, wyrwać się z szeregów, maszerujących na komendę wszechwładnej opinii. Zadaniem silnego było wtedy — rozbijać solidarność, tępą i bezduszną, jak zadaniem dziś jest — solidarność stwarzać. Jak wymownie brzmią jego słowa w „Aspazyi":

„Społeczeństwo zbudowane jest dla karłów; olbrzymy kaleczą sobie czoło o jego wielkie wiązania. Ażeby zaś nie uszkodziły i nie rozbiły tej budowy, trzeba ich powalić i skrępować lub odciąć im głowy".

I oto powstaje dręczące, nieuciszone pragnienie: zgubionemu w lesie konwencyonalnych kłamstw, zniwelowanemu przez nałogi towarzyskie, ostemplowanemu na każdym kroku przez nazwę urzędu, stanowiska, stosunku rodzinnego — znaleźć przedewszystkiem swoją czystą, bezimienną treść człowieczą. Jakób Czarski („Sam w sobie") usiłuje oderwać się od wszystkich etykiet, ciążących na nim i żyć bezimiennie. Niestety, w chwili, gdy sięga po miłość. wypadek gasi jego gwiazdę, brutalnie rzucając na nieznajomą a kochaną kobietę cień jej brudnego otoczenia, z którego może wyrosła, z którem może nic wspólnego nie ma.

I dlatego lepiej, spotkawszy piękną istotę, nie dowiadywać się, nie wiedzieć nic o niej, by czar nie prysnął (nowella „Ona”).

Nietylko treść ludzka znika pod szychem życia, lecz wszystkie czyny, wszystkie szczere odruchy tamuje przemoc tępej władzy lub niedorzecznego zwyczaju. Jedyne schronisko, gdzie można być wolnym, gdzie można być szczerym—to „Moja Głowa”. Kajdaniarstwu zewnętrznemu można przeciwstawić tylko wolność wewnętrzną.

W trylogii „Nieśmiertelne Dusze” („Regina”, „Aureli Wiszar”, „Ojciec Makary”) występują duchy silne, zdolne odrzucić łachman opinii i utartych wierzeń a życiem własnem żyć. Lecz zwarta większość gubi tych, co ponad nią wyrośli. Aureli Wiszar ginie z ręki robotników założonej przez siebie fabryki, którą zrujnowała nieuczciwa konkurencya, Regina i Ojciec Makary giną w kolonii afrykańskiej, nie chcąc pozostać agentami handlowymi misyj europejskich i pomagać im w niecnej polityce kolonialnej. Pozbawieni opieki europejczyków, podejmują oni sami pracę misyonarską i ponoszą śmierć z ręki tubylców.

Jakie bliskie, jakie jeszcze niedokończone jest owo szukanie siebie, wydzieranie się z pod całunów tej martwoty społeczno-towarzyskiej, która wszystko równa — w imię szablonu!

Podzieliwszy świat na „ja” i „wy”, przeciwstawiwszy się tłumowi, musiał Świętochowski znaleźć się w wirze walki. Świat obrócił się ku niemu swym pancerzem ochronnym: kłamstwem, obłudą, oportunistyczną małością—wszystkiem, co jest mu bronią. I nikt nie ujrzał zła w takiej nagości i nie odtworzył go z taką chłoszczącą nienawiścią, z takim wyniosłym wstrętem, jak on.

Kiedy Prus chłoszcze zło, zawsze ma przytem poczciwy uśmieszek oportunizmu, a w rękach rózeczkę umiarkowanego pedagoga. Lecz Świętochowski trzyma pęk rózeg liktorskich i chłoszcze z surową powagą, nieugięcie, bez uśmiechu. Najwięcej go obchodzi grzech przeciwko prawdzie. W paru eksperymentach (On i Ona” „Klub szachistów”) dochodzi do wniosku, że w obecnych warunkach prawda jest niemożliwa. Konstatuje to z chłodem badacza, lecz w innych miejscach („Testament Alego”, „Aspazya”, „Duchy”) rzuca oskarżenia z płomiennym buntem apostoła. Z gorzką ironią przemawia w „Testamencie Alego”: „No, zawiniłem względem ludzi. Zamiast podawać miednicę do obmycia brudu, ja im nadstawiałem zwierciadło do przejrzenia się”.

W jego utworach artystycznych czuć polemiczne zacięcie publicysty, który gorąco oskarża i sąd czyni; zaś na utworach publicystycznych spoczywa piętno artystycznego wykończenia. Dwie strony talentu przeplatają się i uzupełniają przedziwnie, stawiając Świętochowskiego, jako publicystę, obok Woltera, z którym ma dużo pokrewieństwa i Hercena. Dzieło Świętochowskiego — to proces, wytoczony wampirom teraźniejszości i upiorom przeszłości, z namiętnem potępieniem i szlachetną obroną. Wszystkie jego dzieła, nawet na tle greckiem, np. Aspazya, przepełne są treści dzisiejszej, aktualnej. Koloryt lokalny, historyzm nic go nie obchodzi. Jeżeli nam ukaże obrazek z przeszłości („Błazen”, „Poddanka”, „Antea”, „Na targu”), to tylko po to, by nas natchnąć ohydą dla przeszłości, wchodzącej w skład naszych doznawań i myślenia, a więc—również aktualnej.

Jako ten, który był powołany, by dostrzedz, jak mówi Fichte, „rzeczywistość spoczywającą na dnie wszelkiej pozorności”, Świętochowski musiał się zastanowić nad ślepą siłą, wymykającą się naukowej rachubie, nad fatalizmem przypadku („Dachówka”) nad łańcuchem deterministycznym, gubiącym się w mrokach niezgłębionej przyczynowości. I zamiast rozpaczliwej konkluzyi metafizycznej — wyprowadza z niej prawo nieodpowiedzialności etycznej człowieka, prawo humanitarnego przebaczenia. Skoro istnieje jakiś fatalizm, skoro swoboda woli jest prawem czynu, nie zaś chcenia, a chcenie kształtuje nieznana przyczynowość — czyż może istnieć wina?

Ta myśl przewodnia tkwi w sztuce „Niewinni”, którą jedna z osób działających kończy słowami:

„Wynajdź mi na całym świecie jednego, coby był winien, nawet pomiędzy tymi, którzy się sami tak nazywają”.

Nędza i ciemięstwo nieraz znalazły wyraz w pismach Świętochowskiego. Lecz nigdzie nie wskazał środka rozwiązania t. zw. „kwestyi społecznej”. Bo i jakaż była droga dla niego, indywidualisty? Mógł tylko z chojności swej dawać i tłum słabych dźwignąć na sobie. Lecz ta droga pojedynczych usiłowań skutków nie daje, jak on sam w „Aurelim Wiszarze” wykazał; sprawa wyzwolenia ludzkości dla niego kulminuje się w ludziach - ofiarnikach, cierpiących męczeństwo dla idei. Tłum jest zawsze tylko biernym odbiorcą objawień, siłą żywiołową, ciemną i niepewną, lecz nie źródłem energii wartościotwórczej, skupiającej się w ośrodkach — bohaterach.

Był Świętochowski wodzem w czasach wyzwalania się jednostki, obcą mu była walka o prawa większości, chociaż znalazł wśród niej miejsce dla siebie i pracę — lecz nadejdzie ta walka, w której on znów duchowym wodzem się stanie: walka *o prawo mniejszości*.

Z dwóch wielkich a współrzędnych procesów w ludzkości: różniczkowania się i całkowania, indywidualizacyi i uspołecznienia się, pierwszy z nich znalazł w nim rzecznika.

Zdolność uogólnień, rezultat wytężonej działalności rozumowej, pozwala myśli zataczać kręgi coraz to szersze, coraz to bardziej olbrzymie. Uczucie podąża za nim — otwierają się głębie. „Ja teraz dopiero czuję, że miałem zaduże serce. W tem sercu otworzyła się bezdenna przepaść, w której wszechświat tak znika, jak kulka gradu w otchłani wulkanu”, mówi Anaksagoras w „Aspazyi”. W błękitnych przestworach krąży duch wszechobejmujący. Rodzą się wizye kosmiczne, przechodzą korowody wieków...

Ten pochód ludzkości odtworzył Świętochowski w poemacie prozą „Duchy”. Jego proza znana już nam z „Krajobrazów” i „Bajek”, czaruje to eteryczną lekkością porównań, to fantastycznością, przypominającą hafty mrozu na szkle.

W prologu ukazują się siły elementarne złe i dobre, rządzące światem. W pierwszej części (Alrun) autor maluje nam życie rodowe, kierowane despotyzmem naczelnika plemienia przy pomocy kapłana—oszusta. W drugiej (Moronowie) jesteśmy świadkami, jak z zarodka plemiennego powstaje twór narodowo - państwowy. W trzeciej (Zwiastun) przedstawione powstanie religii niewolników—chrześcijaństwa, w czwartej zaś (Pogrom) — czasy ucisku pańszczyźnianego i rewolucyi francuskiej. Ostatnia ta część zawiera poglądy na rewolucyę, które i naszej doby równie dobrze dotyczą (np. rola inteligencyi w rewolucyi), lecz nie miejsce na rozstrząsanie ich w naszym szkicu, mającym na celu jedynie indywidualność artystyczną Świętochowskiego. Należy tylko zaznaczyć, że harmonijną, kochającą umiar artystyczny naturę autora razi i uderza to, co nieodłącznie za śladem zdarzeń się wlecze—dziki chaos i podłość ludzka, a pesymizm jego, bijący np. z takiego powiedzenia: „Stary mędrzec błogosławił bogów, że każdemu pozwolili pozbawić nas życia, lecz nikomu—śmierci”, (Starzec i dziecię) jaskrawo się objawia w kreśleniu beznadziejnej niedoli wieków.

Wzrok jego najdłużej się zatrzymuje na epoce niewolnictwa, odtwarzanej przez niego niejednokrotnie: nic dziwnego, wszak punkt ciężkości niewolnictwa spoczywał w pognębieniu osobistości ludzkiej, jako osobistości, jako wolnego „ja”, zaś pańszczyzna i najemnictwo przeniosła ten punkt ciężkości na mienie i pracę, więżąc nie tak bezpośrednio, nie tak strasznie zabijając indywidualność.

Jedyny, „sam w sobie” i miłość może mieć tylko jedyną. Zwraca naszą uwagę, że w pismach swych Świętochowski, nieustraszenie atakujący wszystko, co mu się kłamstwem wydaje, ani razu nie poruszył kwestyi współczesnej, wyłącznej rodziny. Lecz wszakże dla niego ta forma—jedyny dla jedynej aż do grobu — jest jego właściwą, jemu właściwą, wynika z jego indywidualizmu i z potrzeby bardzo ścisłego zlania się z ukochaną istotą, bo dokoła — mali, źli. Nie można rzucić pomostu między wszystkimi a mną — lecz cała drżąca, niecierpliwa nadzieja samotnika skupia się w upragnionej, wyczekanej miłości. Ta jest u Świętochowskiego opromieniona niezmiernem dostojeństwem, niezachwianym nimbem. Miłość dwojga — to rzadkie naczynie, w którem zostaje złożona wybrana idea wieku, to wybłyskujący w nowy snop promieni punkt świetlny wśród mgławic.

W „Duchach” idea epoki wciela się każdorazowo w parę odkupicieli, noszących przez szereg wieków tę samą nazwę: Aryos — Orla, jakby zaznaczając ciągłość uosobionej w nich idei. Ginący a wciąż zmartwychwstający, ukazują się nam, jak coraz to nowy wschód, jak leit - motyw piękności niezrównanej.

Dzieła Świętochowskiego nie rozpętają w nas żywiołu: to nie puhary krwi gorącej, które nam podają Żeromski i Przybyszewski. To źródło krynicznej wody wśród spiekoty południa.

Myśli głębokich uczucie nie rozgrzewa, lecz je rozświetla. I stąd ten przedziwny nastrój, ogarniający przy czytaniu: myśl zatacza szerokie kręgi, pierś faluje wzruszeniem, lecz jakiemś dziwnie oczyszczonem, beznamiętnem.

To jest to uczucie przeczyste, które wzniosło się w modlitwie Aryosa do boga Eljana:

„Daj memu sercu tyle miłości, ile jest w ludziach cierpienia”.

Savitri.

Wydawca i redaktor: **Paulina Sieroszewska.** Sekretarz redakcyi: **Mamert Wikszemski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.